



Głos ANGLII



TYGODNIOWY PRZEGLĄD SPRAW BRYTYJSKICH

Fok III

Kraków, 17 stycznia 1948

Nr. 3 (64)

Od Redakcji

Na stronie piątej naszego piśmie zamieszczamy artykuł o ochronie przyrody — temat, który w obecnych czasach zwraca uwagę większości europejskich krajów. W wielu państwach niszczenia bogactw przyrody, wyrządzone przez wojnę, były tak znaczne, że wywołały zaniepokojenie zainteresowanych rządów.

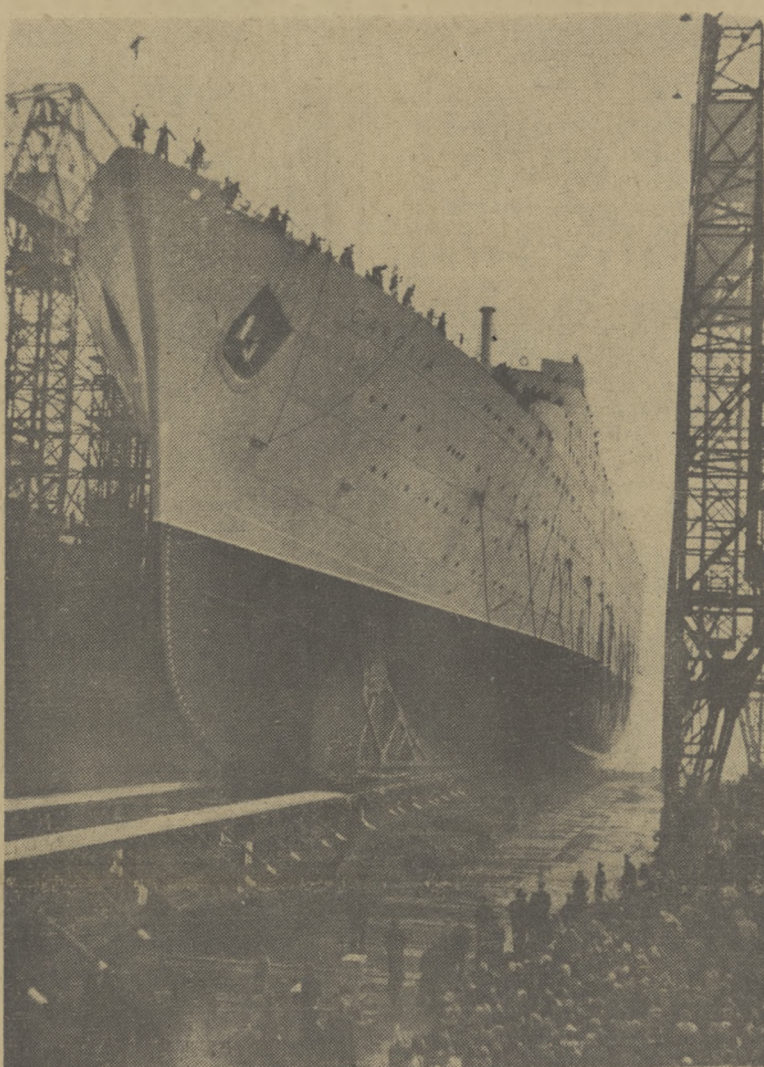
Żaden kraj pod tym względem nie ucierpiał więcej, niż Polska, gdzie Niemcy ze swoją pasją niszczenia systematycznie dewastowali przyrodę wszędzie tam, gdzie mogli to uczynić. Przed wojną Polska była jedynym krajem na kontynencie, gdzie w naturalnym otoczeniu hodowano żubry i tarpany (dzikie konie). Kiedy Niemcy w 1944 r. wycofywali się, wydali rozkaz wypuszczenia zwierząt ze zwierzyńców, co spowodowało trudne do powetowania straty.

Mimo niezwykłego tempa, z jakim Polacy zabrali się do odbudowy zniszczonego kraju, znaleziono czas na zakładanie nowych zwierzyńców dla tych zwierząt. Zwrócono również baczniejszą uwagę na ich rodzaj pożywienia i ich stan zdrowotny. Czuwa nad tym wyszkolony personel, składający się z dozorców i weterynarzy. Najslawniejszy jest rezerwat białowiejski, lecz w Niemczech i w Polsce są także zwierzyńce dla rasowych żubrów. 1½ roku temu ofiarowano Białorusi 5 żubrów białowiejskich i umieszczono w części puszczy białowiejskiej należącej do Rosji. Słynne niegdyś kaukaskie bizona wyginęły prawie zupełnie po pierwszej wojnie światowej tak, że Rosja zawdzięcza Polsce zachowanie tych pięknych okazów.

W innych krajach również zwrócono uwagę na ochronę zwierząt i ptaków. Włochy usiłują rozwiązać ten problem, udzielając zasiłków, jak to czytamy w naszym artykule. Od wielu lat W. Brytania interesowała się należytą ochroną przyrody, szczególnie gatunkami ptaków, które były na wyginięciu. „Rezerwaty ptasie” powstają w całym kraju, a kary za przekroczenie wydanego rozporządzenia są surowe. Niektóre z tych rezerwatów są pod ochroną państwa, inne zakłada się w starych majątkach, jeśli właściciel okaże się miłośnikiem zwierząt i ptaków. Jeszcze inne nadal mają charakter parków, dostępnych dla publiczności, w których można oglądać okazy, które gdzieś indziej wyginęły.

Jest to pomyslną oznaką, że w toku planowania i odbudowy, która zajmuje całą Europę, poświęca się również czas, pieniądze i staranie innej stronie życia, która dodaje mu tyle uroku.

Największy transatlantyk powojenny



Księżniczka Elżbieta jest matką chrzestną spuszczonego niedawno na wodę nowego statku pasażerskiego. Otrzymał on imię „Caronia”. Ten, liczący 34.000 ton wyporności motorowiec jest największym z wykonanych po wojnie. Będzie on obsługiwał linię transatlantycką. Na zdjęciu — statek zjeżdża po pochylni w morze.

POMOC MARSHALLA NIE BĘDZIE TRWAŁA WIECZNIE

Na konferencji prasowej w Londynie Sir Stafford Cripps dokonując przeglądu programu ekonomicznego W. Brytanii na rok 1948, określił dwa jego główne cele: zdobycie większej ilości dolarów i dalszy postęp w kierunku zrównoważenia bilansu handlu zamorskiego.

Brytyjskie importy za rok 1947 (zakładając, że cyfry z grudnia są takie same jak z listopada) osiągnęły łączną sumę 1770 mil. funtów, licząc koszty przewozu. Jeśli pominie się te koszty, import równa się 1600 mil. funtów. Przy łącznej sumie eksportu wynoszącej 1140 mil. funtów, jasne jest, że bieżący ogólny deficyt handlowy za rok 1947 dochodzi do 460 mil. funtów. Ograniczenia w imporcie, wprowadzone w lecie zeszłego roku, nie odniosły pożądanego skutku, który okaże się chyba w połowie 48 roku.

REZULTAT ZWYŻKI CEN NA ŚWIECIE

Sir Stafford podkreślił trudności, wynikające ze zwyżki cen na całym świecie. „Nawet przy większym, niż byśmy tego chcieli, zredukowaniu ogólnej ilości importu, rząd będzie musiał wydać więcej pieniędzy, ponieważ cen za granicą poszły w górę. Musimy zdać sobie sprawę z faktu, że warunki handlu stają się stopniowo coraz mniej korzystne i przeważnie musimy płacić więcej, a otrzymujemy mniej”.

„Brytyjscy eksporterzy — powiedział minister — muszą także zdać sobie sprawę z przykrego faktu, jakim jest poziom cen na rynkach zamorskich. Zwiększenie eksportu w połowie 48 roku o 140% w porównaniu z rokiem 1938 możnaby osiągnąć

tylko na zasadzie cen konkurencyjnych. Ze względu na eksport do krajów dolarowych, ceny ofiarowane mogą nie okazać się tak korzystne naszym eksporterom na tych rynkach jak te, które mogą oni uzyskać gdzie indziej. To stawia fabrykantów jak i rząd w obliczu trudnego problemu. W obecnej chwili rząd rozpatruje w jaki sposób go rozwiązać”.

WZROST PRODUKCJI

Minister skarbu, czyniąc przegląd sytuacji w dziedzinie produkcji na początku tego roku, stwierdził następujące fakty: więcej ludzi pracuje obecnie niż w 1939, co zawdzięcza się większej ilości zatrudnionych kobiet — a mobilizacja sił celem zwiększenia produkcji w tym roku jest faktycznie ukończona.

W październiku zeszłego roku 5 razy więcej nowo zwierzbowanych robotników pracowało w zakładach przemysłowych niż w nieprzemysłowych. Z tych 12.000 weszło do przemysłu tekstylnego, (gdzie gwałtownie potrzebna dodatkowa siła robocza). W przemyśle węglowym było w grudniu zatrudnionych 26.000 pracowników więcej niż w zeszłym roku i sytuacja przedstawia się bardzo zadawalająco. Ilość wrębiarek w 1947 roku wzrosła prawie o 20% w stosunku do 46 roku, produkcja transporterów zwiększyła się o 50%. W listopadzie produkcja maszyn żelaznych wyno-

CZYSTO ADMINISTRACYJNY CHARAKTER ZMIAN W BIZONII

Nasz korespondent dyplomatyczny donosi, że gubernatorzy wojskowi, brytyjski i amerykański, przedłożyli w Frankfurcie członkom rządów ośmiu „Länder”, utworzonych w strefach połączonych, propozycje, których celem jest wzmocnienie Niemieckiej Rady Gospodarczej, przez zwiększenie jej odpowiedzialności za administrację ekonomiczną.

Funkcje Niemieckiej Rady Gospodarczej, jako organu reprezentacyjnego w Bizonii, zgodnie z powyższymi propozycjami będą nadal ograniczone do dziedziny gospodarczej. Funkcje te wszakże miały dotychczas charakter doradczy, obecnie zaś będą mieć kompetencję wykonawczą, pod kontrolą gubernatorów wojskowych.

Proponowana zmiana jest dorywczym posunięciem, które zdaniem brytyjskich i amerykańskich władz wynika z konieczności przyspieszenia tempa gospodarczej odbudowy stref połączonych, nie oglądając się na brak uzgodnienia przez konferencję ministrów spraw zagranicznych, obliczonego na dalszą metę programu dla wszystkich czterech stref.

Równocześnie dalsza sprawa, utworzenie zjednoczonych Niemieckich rządów przez niemiecki rząd, zdolny do odpowiedniego wykonywania swych funkcji, pozostaje ostatecznym celem rządów brytyjskiego i amerykańskiego.

Proponowane zwiększenie odpowiedzialności niemieckiej w dziedzinie administracji gospodarczej stref połączonych, nie daje im prowizorycznej konstytucji politycznej ani też nie ustanawia tam prowizorycznego rządu politycznego. Zarząd polityczny stref połączonych pozostaje nadal w ręku sprzymierzonych władz wojskowych. Propozycje zatem nie zamykają drzwi dla przyszłego połączenia wszystkich czterech stref pod centralnym rządem niemieckim.

CORAZ LEPSZA WYDAJNOŚĆ PRACY

Przeciętna indywidualnego wysiłku również wzrasta. Pracownicy przemysłu stalowego zgodzili się na system nieprzerwanej pracy, a robotnicy w przedsiębiorstwach przystali na pracę w nadliczbowych godzinach; tydzień pracy górników znów wynosi 5½ dnia, a wydobycie węgla wzrosło o 7% w ostatnim miesiącu roku.

Ze względu na to, że transport będzie jednym z najtrudniejszych problemów w rozwoju wzrastającej produkcji tegorocznej, specjalnie korzystnym jest fakt, że ostatnio miesięczna produkcja nowych wagonów jest o 10% większa niż w poprzednich miesiącach i 5% większa niż w roku 1946. Cyfra naprawionych wagonów w połowie grudnia przewyższyła 100.000 na tydzień w porównaniu do 88.000 w lipcu. Ilość wagonów wyładowanych podniosła się o 43% w pierwszym tygodniu, a o 70% w ostatnim tygodniu kampanii, w przemyśle tekstylnym produkcja rayonu, bawełny i przędzy wełnianej jest większa niż kiedykolwiek od zakończenia wojny.

PLAN MARSHALLA

Sir Stafford na zakończenie mówił o pomocy Marshalla. Powiedział, że jeśli chodzi o dolary, W. Brytania znajdzie się w trudnym położeniu o

W numerze:

BILLINGSGATE MARKET ISTNIEJE 1000 LAT

GRAMOFON JAKO NAMIĘTNOŚĆ

Z DOKÓW DO SZYBÓW

MINISTERSTWO STRACHU (2)

PISARZ, KTÓRY WYPRZEDZIŁ SWOJĄ EPOKĘ

MALY WÓZEK WIELKIEGO WIEKU

PRZEKAZANIE WŁADZY REPUBLICIE BURMY

4 stycznia 1948 roku ludność Burmy święciła uroczyste swoją niepodległość. Święciła ją nie w charakterze demonstracji antybrytyjskiej, lecz w pełnym porozumieniu i przyjaźni z rządem W. Brytanii, który dał jej wybór pomiędzy niepodległością w połączeniu z przynależnością do Brytyjskiego Commonwealth'u, a niepodległością pozbawioną wszelkiego związku z brytyjską Wspólnotą Narodów.

W dniu 18 czerwca 1947 roku konstytuanta burmańska jednogłośnie postanowiła proklamować Burmę jako niepodległą, suwerenną republikę. Rezolucja ta została przedłożona przez generała-majora Aung-San, przywódcę Antyfaszystowskiej Ligi Wolności Ludu, najsilniejszej partii burmańskiej, który był głównodowodzącym w burmańskiej Armii Wyzwolenia podczas japońskiej okupacji tego kraju.

W czasie ceremonii przekazywania władzy w Londynie, sir Stafford Cripps, minister skarbu, składając gratulacje rządowi brytyjskiemu, powiedział: „Po długotrwałym związku zostajemy się w przyjaźni, zachowując szczerą wzajemną życzliwość”.

Na gmachu ambasady burmańskiej powiewa flaga unii burmańskiej, która zajęła miejsce flagi brytyjskiej.

Sir Maung Gye, ambasador Burmy, określił w swojej mowie to wydarzenie jako pamiętny moment historyczny.

„Po raz pierwszy w historii — powiedział on — wielkie mocarstwo kolonialne zrzekło się swej władzy nad zależnym od siebie krajem”.

„Nie nadejdzie pomoc; bez tej pomocy kraj nasz nie potrafi opanować sytuacji, nie wprowadzając dalszych ograniczeń w imporcie żywności i surowców z półkuli zachodniej. Z tą ograniczenia takie zaprowadziłyby W. Brytania na równię pochyłą, która przez zmniejszenie importu materiałów spowoduje zmniejszenie produkcji a tym samym eksportu.”

„Nie będziemy mogli eksportować do Europy ani węgla ani stali ani innych dóbr podstawowych jak tylko w zamian za import tych dostaw, które są uznane za niezbędne. Jeśli chodzi o brak dolarów, to bez pomocy USA nie moglibyśmy odegrać naszej roli w odbudowie Europy, a zatem i całego świata, lecz zmuszeni byłibyśmy do myślenia tylko o ratowaniu siebie samych”. Pomoc Marshalla nie pozwoli na wyczerpanie i nie będzie trwała wiecznie; nie obiecuje ona ulgi i nie usunie wszystkich braków żywnościowych, ale daje sposobność do pełnej odbudowy gospodarczej i wzmocnienia naszego przemysłu po wysiłku, jakim został on nadwyrężony po ostatniej wojnie.

POGLĄDY PRASY BRYTYJSKIEJ

CO POSTANOWIĄ LEKARZE?

DAILY HERALD. Zdrowy rozsądek i duch społeczny może jeszcze zdolać przeważać w centrali British Medical Association (Związek Lekarzy Brytyjskich), który walczy z rządem o warunki, na których lekarze wezmą udział w narodowej służbie zdrowia.

Jak dotąd władze B. M. A. nie okazały się skłonne uznać autorytetu parlamentu, który wydał ustawę o Narodowej Służbie Zdrowia i postanowił, że wejdzie ona w życie w lipcu br.

Z końcem 1946 r. BMA zorganizował plebiscyt, by się przekonać czy lekarze w ogóle zechcą pertraktować z ministrem Zdrowia Bevanem. albo czy raczej otwarcie nie zbojkotują tej ważnej i od dawna potrzebnej akcji, mającej na celu poprawę społecznego zdrowia. Wynik plebiscytu nie był całkiem wyraźny i rokowania trwały nadal. Obecnie BMA organizuje nowy plebiscyt, tym razem by ostatecznie przekonać się, czy lekarze 5 lipca obejmą Służbę Zdrowia.

Z poprzednich wypowiedzi i posunięć wynika jasno, że przywódca Związku cieszyłoby się, gdyby odpowiedź na to pytanie brzmiała: Nie. W plebiscytcie 1946 r. 18.900 lekarzy głosowało za podjęciem rozmów z min. Bevanem, 23.000 przeciw temu wnioskowi a 14 tys. wstrzymało się od głosowania. BMA widocznie potrzebuje silniejszej większości niż poprzednio uzyskana, zanim weźmie na siebie odpowiedzialność i nakaze wszystkim swym członkom zlekceważenie woli parlamentu.

Tymczasem wśród lekarzy dają się zauważyć dwa różne nastawienia. Specjaliści i lekarze pracujący w szpitalach na ogół przychylnie odnoszą się do projektów min. Bevana, sprzeciwiają mu się natomiast „doktorzy wszech nauk lekarskich”, praktykujący głównie na prowincji.

Sprzeciw ten można streścić w czterech głównych punktach. Pierwszym z nich jest projektowany zakaz nabywania i odsprzedawania praktyki, jako anachronizm, zwłaszcza z punktu widzenia skutecznej dla społeczeństwa opieki lekarskiej. Trudno powiedzieć coś na korzyść tej procedury, podobnej do zniesionego temu 50 lat zwyczaju nabywania za pieniądze stopni wojskowych. Drugim punktem jest niechęć do ustanowienia podstawowej kwoty stałego uposażenia, jako części dochodów lekarza. Uparci twierdzą, że jest to furka, przez którą wślizną się może system całodziennego zatrudnienia lekarzy na podstawie stałych poborów.

Trzecim zastrzeżeniem jest współpraca z instytucją rządową jako taką, ponieważ, zdaniem BMA, będzie to służba „biurokracji”. Lekarzowi z prawdziwym powołaniem zastrzeżenie to pewno wcale nie przyszłoby nawet na myśl.

Czwarty punkt sporny, to sprzeciw wobec nawet tak delikatnego, negatywnego „kierownictwa”, jak to, które jest konieczne, by zapewnić wszystkim okragom, bogatym i ubogim, przyjemnym czy nieprzyjemnym, sprawiedliwy przydział opieki lekarskiej. Jest to oczywiście bezwarunkowy postulat, jeżeli Służba Zdrowia ma naprawdę objąć całe społeczeństwo. Wszystkie te argumenty pro i contra są obecnie tematem gorących dyskusji na każdym terenie, na którym spotykają się lekarze. Wkrótce może jednak powstać dla nich jeszcze inny problem. Jeżeli BMA zdobędzie dostateczną większość i zbojkotuje Narodową Służbę Zdrowia, każdy poszczególny lekarz będzie musiał się zastanowić czy ma się tej decyzji podporządkować.

Dla dobrej sławy zawodu lekarskiego korzystniejszym będzie, jeżeli jako zorganizowana jednostka postanowi umiejętności swe i swój entuzjazm oddać całemu sercem do dyspozycji narodu.

INTELEKT I ZARÓBEK

DAILY TELEGRAPH. Min. Oświaty Tomlinson w jednym ze swych oświadczeń rozgranicza wykształcenie dla korzyści intelektualnych od wykształcenia dla celów zarobkowych. Mimo że nieraz już próbowano przeprowadzić podobne rozgraniczenie, należy wątpić czy dwutorowość taka jest istotnie realna. Dla systemów oświatowych również tru-

dne byłoby wprowadzenie innych wzorów wychowawczych od tych, które są przyjęte i wynagradzane przez społeczeństwo, jak trudnym jest dla poszczególnego człowieka podzielić dzień między warsztat pracy, a „wieżę z kości słoniowej” — miejsce odosobnienia intelektualnego. W pierwszym zarabia na chleb, w drugim szuka zadowolenia dla swych wyższych aspiracji. Na dnie rozmowy min. Tomlinsona tkwi zdaje się pożałowania godny fakt, że w nowoczesnym społeczeństwie zarabianie na życie jest zbyt często nudnym, zmechanizowanym i nie dającym zadowolenia zajęciem. Z tego powodu sądzi, że kształcenie jest przygotowaniem do umiejętności lepszego wykorzystania wolnego czasu. Teza ta zgodna jest z ekonomicznymi zasadami socjalizmu, dążącego do zredukowania godzin pracy do minimum.

Teza ta wszakże pomija fakt, że oprócz zdolności, kształcenie się wymaga wysiłku woli, która u przeważnej liczby ludzi jest dziekiem ambicji. Jeżeli społeczeństwo zechce obсыпать zaszczytami i przywilejami niedorozwiniętych prostaków, należy się spodziewać, że droga wiedząca do wiedzy i poznania wkrótce całkiem opustoszeje. Faktem historycznym jest, że podobna sytuacja zaistniała już w nazistowskich Niemczech. Pozbawienie inteligentnego i zdolnego człowieka możliwości zdobycia osobistej nagrody za swe osiągnięcia, jest smutną zaistnie perspektywą. Korzyść, której p. Tomlinson się domaga jako istotnego celu wykształcenia, nie da się chyba zrealizować, jeżeli nie uzna się go za równie godne wynagrodzenia, jak praca zarobkowa.

NIEBEZPIECZEŃSTWO W PALESTYNI

THE TIMES. Mandatowy rząd palestyński stoi teraz wobec rosnących

ciągłe trudności, w swoich dążeniach do utrzymania pokoju i porządku w regimie, który w żadnych okolicznościach nie może trwać dłużej niż kilka miesięcy. Według planu ogłoszonego w parlamencie mandat brytyjski kończy się 15 maja 1948 roku. Po tem odpowiedzialność za administrację Palestyny przejdzie na Komisję ONZ, a wojska brytyjskie, których wycofanie zakończy się w sierpniu, będą nadzorowały tylko strefy wymagające ich własnego bezpieczeństwa.

Obecnie wątpliwe jest czy plan ten zostanie wykonany.

Sprawy Brytyjczyków, Arabów i Żydów powikłały się mocna na skutek zaburzeń, które dolewają olivi do ognia rasowych nienawiści. Nie ulega wątpliwości, że plan będzie musiał być zrewidowany po doświadczeniach ostatnich 4 tygodni.

Przy obecnym nastawieniu społeczeństwa żydowskiego i arabskiego stało się niemożliwością, aby mandatowy rząd Palestyny przywrócił porządek publiczny bez uciekania się do drażniących metod militarnych! Przeprowadzenie takiej akcji militarnej jest znowu niemożliwe, kiedy oba społeczeństwa (żydowskie i arabskie) mają wziąć we własne ręce swoją przyszłość polityczną i gdy odpowiedzialność przejdzie niebawem z rąk brytyjskich w ręce ONZ. Rząd palestyński znalazł się więc we wręcz fałszywej sytuacji. Bo mimo że na nim spoczywa jeszcze odpowiedzialność za prawo i porządek, nie może zastosować środków któreby ten porządek i praworządność przywróciły. W. Brytania nie może utrzymać pokoju w Palestynie, ani też pozwolić innym na zrealizowanie tego na własną rękę. Sytuacja stała się nieznośna, gdy będzie trwała nadal spowoduje ogromny wzrost nienawiści między Arabami a Żydami, a także niepotrzebne ofiary w ludziach ze strony obywateli W. Brytanii. Jedyną więc rzeczą, jaka pozostaje poli-



Sniadanko myśliwskie

„Lilput”

tyce brytyjskiej — jest obecnie zapewnienie bezpiecznego i gładkiego wycofania brytyjskich wojsk i administracji. — Jest tylko jeden kurs do przyjęcia. Komisja ONZ, która ma się zebrać po raz pierwszy 7 stycznia w Lake Success powinna być wezwana do jak najszybszego podjęcia swych obowiązków w Palestynie. Nie bacząc na trudności, jakie by z tego wynikły (a będą one wielkie) Kom-

esja ta może się oprzeć na tych potężnych siłach w kraju, które pochwalają podział Palestyny. Władze brytyjskie bowiem w wigilię swego ustąpienia nie są w stanie nic zrobić.

NAUCZKA Z AMERYKI

DAILY HERALD. Prezydent Truman podpisuje, mimo ostrych protestów, amty-inflacyjną ustawę wniesioną przez republikanów. Ustawę tę nazywał prezydent „żałosną i niewspółmierną bronią przeciwko wysokim kosztom utrzymania”. W połowie listopada prezydent zaproponował Kongresowi 10-cio punktowy program dla zapobieżenia inflacji, który — w razie potrzeby — przewiduje racjonowanie żywności i kontrole cen.

Propozycja ta nie została przyjęta. Ustawa, która przeszła obecnie, nie dopuszcza do zastosowania koniecznych orzeczonych ograniczeń, operuje zaś jedynie półśrodkami, takimi jak np. dobrowolna umowa między poszczególnymi gałęziami przemysłu — dotycząca rozdziału rzadkich na rynku surowców i materiałów.

Te wydarzenia amerykańskie powinny stać się nauką dla każdego Brytyjczyka, który w okresie minionych dwu lat zaczął się chwilać pod wpływem turystowskiej propagandy.

Prawie, że od samego nastania pokoju nasi torysi protestują przeciwko wszelkim ograniczeniom. Ostatnio zapytani, jakie ograniczenia chcieliby usunąć, nie potrafili na to odpowiedzieć.

Wiemy jednakże, że pan Churchill, niedawno temu wskazując Amerykę jako triumfujący przykład kraju, który z powodzeniem realizuje jego slogan: „Niechaj ludzie zostaną wolni”. Miejmy nadzieję, że pan Churchill pochłonięty w Marrakesh pisanem swym historii wojny, znajdzie choć chwilę czasu na przeczytanie ostatniej notatki o tym, jak Truman przyczynia się do budowania historii pokoju.

Torysi twierdzą, że gdyby byli przy władzy, racjonowaliby nadal artykuły żywnościowe pierwsze potrzeby, których na rynku znajduje się bardzo mało. Ale przecież nie kto inny lecz oni podnosili wżask przeciw racjonowaniu chleba.

A właśnie przez reglamentację żywności i ubrań, przez stosowanie subsydjów żywnościowych (które sir John Anderson, jak twierdzi, chciałby zredukować do najkonieczniejszych tylko rozmiarów), przez kontrole cen i zużycia surowców, rząd labourystowski zapewnił sprawiedliwość wszystkim naszym obywatelom i rozciągnął opiekę nad najbardziej ubogimi.

SPROSTOWANIE

W notatce zatytułowanej „Korzystna umowa zrealizowana” w ubiegłym tygodniu na tej samej stronie błędnie podano jako źródło wiadomości „Daily Mail”. W rzeczywistości informacja pochodziła z „Daily Herald”.

B. B. C. RUSSIAN BROADCAST

Najmłodszy minister angielski

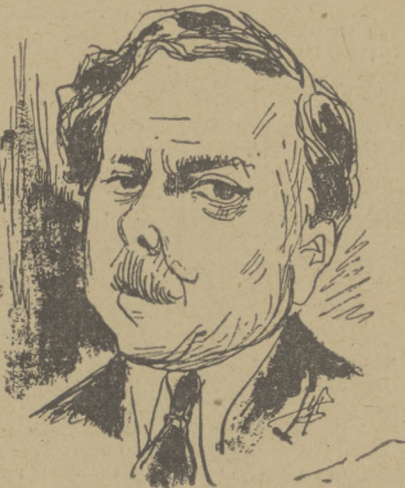
SŁUSZNI można by Harolda Wilsona nazwać „baby of the Cabinet” — benjaminkiem gabinetu. Jest on bowiem najmłodszym członkiem labourystowskiego parlamentu, który w tak błyskawicznym tempie zrobił karierę ministra.

Krótko po objęciu fotela w Izbie Gmin w r. 1945 Wilson został wybrany sekretarzem parlamentarnym przy Ministerstwie Pracy, a jego działalność była tak wybitna, że już we wrześniu zaczął piastować urząd ministra Handlu. Było to w roku 1946. Minister liczył sobie wtedy 31 lat(!). Jest to rzeczywiście rekord trudny do pobicia. Nawet Churchill, który był swego rodzaju fenomenem, miał o 3 lata więcej, gdy objął to samo stanowisko 40 lat temu. Ale myliłby się ten, kto by sądził, że Wilson objął tę rolę nie mając odpowiedniego przygotowania i doświadczenia. Przechodził on bowiem w swojej karierze szczeble drabiny urzędniczej. Piastował też stanowisko wiceministra. Znał świetnie pracę wszystkich resortów urzędowych. Zdolności i rutyna urzędnicza dały mu najwyższe kwalifikacje w tej dziedzinie. Od chwili ukończenia lat 20-tych zajmował się Wilson najbardziej skomplikowanymi zagadnieniami ekonomicznymi, a nade wszystko międzynarodowymi kwestiami ekonomicznymi.

Podczas wojny był początkowo członkiem sekretariatu w gabinecie wojennym. Jego praca polegała na zbieraniu i systematyzowaniu danych statystycznych i ekonomicznych z różnych ministerstw i przedstawianiu ich gabinetowi. Potem przeszedł do Ministerstwa Zaopatrzenia i Pracy. W roku 1943 został mianowany dyrektorem wydziału ekonomiczno-statystycznego w Ministerstwie Opału i Energetyki. Tu jego wiedza i zdolności w wypracowywaniu szczegółów okazały się znakomite. Jako sekretarz anglo-amerykańskiej komisji węglowej współpracował z ekspertami Harrimana — odznaczając się w pracy nad obliczeniem światowych zasobów ekwipunku górniczego. Opracował też jeden z

najbardziej skomplikowanych dokumentów, jaki wydał rząd, a mianowicie systematyczne zestawienie wydobycia węgla.

Wilson wie zawsze czego chce, tak w dziedzinie swych spraw osobistych, jak i dotyczących jego obowiązków. Gdy w 1946 roku rozpisano wybory powszechne, opuścił służbę rządową, powracając do Oksfordu, gdzie poprzednio był docentem uniwersytetu. Napisał też doskonałą książkę o węglu. Podczas wyborów był kandydatem labourystów z północnego okręgu kraju. Został wybrany i natychmiast otrzymał urząd



Min. Harold Wilson

wiceministra robót publicznych. Poznano go tu jako pierwszorzędnego fachowca.

Obowiązki wiceministra kazały mu często wyjeżdżać za granicę. Reprezentował W. Brytanię w Genewie i Waszyngtonie, a ostatnio w Moskwie. Do stolicy Związku Radzieckiego wyjechał jako minister handlu zagranicznego, aby przeprowadzić rozmowy nad anglo-radzieckim układem handlowym. Wilson pojmował swoje obowiązki bardzo poważnie, tak że nawet zajął się nauką języka rosyjskiego, by lepiej się porozumieć z delegatami sowieckimi. Wierzył bowiem, że umowa handlo-

wa między Anglią a Z. S. R. R. ma wielką przyszłość. Rząd brytyjski uważał również, że należy zrobić wszystko, aby wznowić normalne stosunki handlowe między obu krajami, gdyż nie tylko będzie to miało znaczenie dla spraw ekonomicznych ZSRR i Anglii, lecz także stanie się cegiełką do ekonomicznej odbudowy świata.

Wilson jest pełen pewności siebie, bo sam wykul sobie swoją drogę życiową. Pochodzi z Huddersfield w Yorkshire, gdzie ojciec jego zajmował się chemią analityczną. Uczęszczał tam do szkoły państwowej jako stypendysta, a później studiował na uniwersytecie oksfordzkim.

Jako 21-letni, młody człowiek został lektorem jednego z wydziałów uniwersytetu, którego profesorem był lord Beveridge (autor „Pełnego zatrudnienia w wolnym społeczeństwie”).

Pomagał Beveridge'owi w jego badaniach i przyczynił się do napisania słynnego „Raportu Beveridge’a”. Lecz Harold Wilson to nie jakiś „zakopany” w papierach mąż stanu. Nie jest wprawdzie błyskotliwym mówcą i nie „błyszczał” w tym resorcie na zebraniach Izby Gmin — ale potrafił postępować z ludźmi, a to jest jedna z najważniejszych umiejętności.

Umie doskonale porozumiewać się z osobami energicznymi i jasno myślącymi jak on sam, ale dla nie posiadających tych zalet ma mało cierpliwości. Zawsze szybko poznaje się na błędzie, a równocześnie zna się na prowadzeniu układów.

Z wyglądu Harold Wilson to typowy tęg i o okrągłej twarzy mieszkaniec Yorkshire. Mimo swych ekonomicznych i ministerkich kwalifikacji jest zawsze szczerzy i otwarty w rozmowie. W czasie wolnym od zajęć uprawia żeglarsstwo i rybołówstwo.

Na jego barkach (jako ministra Handlu) spoczywa wielka odpowiedzialność za powodzenie czy też fiasko „bitwy o produkcję”. Wydaje się, że największą jego zalecia to umiejętność odróżniania spraw ważnych od błażych.

CENNE KRYSZTAŁY

List z LONDYNU



U góry: Flakon kryształowy. Na pierwszym planie medalion przedstawiający Brytanię — a spotykany na banknotach angielskich.

Na prawo: Zastawa kryształowa odznacza się piękną linią i bogactwem rysunku.



Biuro rzeczy zagubionych

Pani Henderson, przykładna gospodyni, która nie ma czasu na niepotrzebne podróże, zdjęła fartuch i wyruszyła w drogę do Londynu, odległego o 16 km od jej gniazda rodzinnego. Energicznym krokiem weszła do dużego budynku na Baker Street, w którym mieści się londyńskie Biuro Zagubionych Rzeczy.

Stała przed ladą, na której widniał napis „Parasole”.

„Przepraszam pana uprzejmie — zapytała — czy przypadkiem nie znalazła się moja parasolka, którą zostawiłam w autobusie w zeszły wtorek?”

Pan Saunders, urzędnik, w eleganckim, szarym mundurze, popatrzył na nią pytającym wzrokiem. Jaki był numer autobusu, którym wtedy jechała? O której godzinie? Jak wyglądała ta parasolka?

Pani Henderson mówi, że był to numer 43 autobusu, jadącego do Finchley o 8.30 rano. Parasolka była śliczna, cała czarna, z czerwoną rączką.

Saunders sprawdza datę w kalendarzu, wiszącym na ścianie. Ostatni wtorek był 25 listopada. Wyciąga szufladę z kartoteką i przegląda formularze, na których opisany jest szczegółowo wygląd pozostawionych parasoli w październiku i listopadzie. Białe kartki oznaczają autobusy, żółte — koleje podziemne, zielone — formularze dotyczące innych pojazdów motorowych.

W końcu pan Saunders sięga do niebieskich teczek listopadowych. Jest ich tyle, ile dni w tym miesiącu — czyli 30. Ręka jego zatrzymuje się na numerze 25-tym. Teczka jest wcale pokaźnych rozmiarów. Widocznie w tym dniu ludzie byli specjalnie roztargnieni i pozostawiali po autobusach i pociągach całe masy parasoli. A może był to po prostu pogodny dzień i tym łatwiej można było zapomnieć o własnym parasolu?

Teraz spomiędzy białych kartek Saunders wyciąga nr. 43, co odpowiada numerowi autobusu. Tak, to rzeczywiście może być parasolka pani Henderson.

Patrzy na bardziej szczegółowe dane. Została znaleziona przez konduktora autobusu nr. 43, 25 listopada, o godz. 8.30, w czasie jazdy do Finchley. „Dokładny opis znalezionego przedmiotu: czarna, z nazwiskiem Henderson, wrytym na czerwonej rączce”.

Saunders jest bardzo zadowolony. Tuż obok niego spoczywają całe szeregi parasoli, które czekają na swych odbiorców. Na rączkach mają zawieszone numerki, które odpowiadają numerom zaznaczonym w kartotekach. Triumfalnie wyciąga jedną z nich.

„Czy to jest pani parasolka?” —

OFIAROWAŁ NARODOWY BANK POLSKI BANKOWI ANGLII

CIEKAWA ceremonia odbyła się niedawno w biurach Banku Anglii. Oto przedstawiciele Narodowego Banku Polskiego wręczyli Lordowi Catto, dyrektorowi Banku Anglii, upominek w postaci siedmiu kryształowych szklanek, karafki i flakonku. Kryształ te wykonano w jednej z polskich fabryk na Dolnym Śląsku. Każda sztuka udekorowana jest medalionem przedstawiającym Brytanię — takim samym, jaki spotyka się zawsze na banknotach angielskich. Wkrótce Bank Anglii ma otrzymać od Banków Polskich resztę siedmiu kompletów kryształowych. Wręczenia upominku dokonali z ramienia Narodowego Banku Polskiego panowie Broźniak, Barański i Karpiński. Prezent ten jest wyrazem wdzięczności dla Banku Anglii za gościnność i pomoc, jakiej doznał Bank Polski w czasie II wojny światowej.

JAK HENRYK VIII
ODZYSKAŁ... NOGI

PRZED 700 laty rodzina Dymoków otrzymała następującą ofertę: członkowie tej dzierżyć mieli stanowisko „Królewskich Szermierzów”. Było to wazne stanowisko; Szermierz miał obowiązek wyzywać „na udeplana z emię” krytyków i przeciwników swego monarchy. W późniejszych czasach urząd Szermierza był wysokim urzędem honorowym: aż do 1821 roku członek rodziny Dymoków podczas koronacji nowego monarchy wjeżdżał konno do Westminster Hallu, gdzie odbywał się bankiet koronacyjny i rzucał wyzwanie wszystkim tym, którzy mieliby coś do zarzucenia nowemu królowi.

Od 1821 roku zaniechano i bankietu koronacyjnego i ceremonii wyzwań. Dymokowie pełnili jednak nadal funkcje Szermierzy Króla a m. Frank Dymoke, który umarł w ubiegłym roku, nosił Królewską Chorągiew Anglii podczas uroczystości koronacyjnych ostatnich trzech królów.



W dawnych czasach nowy król otrzymywał zawsze swemu Szermierzowi wspaniałą zbroję. Zbroje te przechowywane były w siedzibie Dymoków: Scribeley Court. Po śmierci Franka Dymoke'a podczas oglądania zbrojowni, odkryto... nogi jednej ze zbroi Henryka VIII, która kiedyś ofiarowała rodzinie Dymoków, a której górna część od dawna już zdołała muzeum w Tower. Nogi więc dodano do reszty i strój ten jest obecnie kompletny. Jest to bardzo piękna zbroja o pełnym pancerzu, spiczastej przybycy i kwadratowych stopach. Według niej orientować, że Henryk VIII, który lubił uprawiać wszystkie sporty, nie wyłączając turniejów i pojedynków był wysokim, szczupłym, młodym rycerzem i zupełnie nie przypominał niezgrabnego grubasa, jakiego znamy z portretów malowanych w późnym okresie jego panowania.

NOWE SZTUKI BRIDIEGO

DOWIEDZIAŁEM się, że James Bridie, (który jako dr G. H. Havor był przez szereg lat moim lekarzem w Szkocji), ma wystawić dwie nowe sztuki; jedną w Glasgow, a drugą w Londynie. Sztuka przeznaczona dla Glasgow była specjalnie napisana dla zespołu „Old Vic” na międzynarodowy festiwal w Edynburgu. Bohaterem jej był reformator John Knox. Zespół teatru „Old Vic” uznał, że nie jest w stanie wystawić tej sztuki i teatr obywatelski w Glasgow (którego autor był dyrektorem) podjął się tego dzieła. Także goście przyjeżdżający na festiwal mogli zobaczyć sztukę, o ile tylko zapewnili sobie przejazd do Glasgow. Bridie oświadczył ogromnie zainteresował się wystawieniem sztuki, a utalentowany malarz Ethel Lewis (dawny pracownik szkockiego teatru narodowego) obmyślił odpowiednio do tego okresu stroje. Mój rodak Alastair Sim wystawia i gra w „Dr. Angelus” drugiej sztuce, która ma się ukazać wkrótce w Londynie. Występował w sztukach „Dr. Belfry” i „It depends what you mean” które miały wielkie powodzenie, a także w „Farrigan's Reel”, która nie odniosła sukcesu. Pod wielu względami Alastair przypomina prawdziwego Szkota „w rodzaju Barriego”. Syn małego krawca, mimo skromnych początków nie przestał wytrwale pracować. Uczył wymowy, wystawiał sztuki dla dzieci. Podczas sezonu letniego nie wzdrażał się przed przyjmowaniem drugorzędnych zajęć (podobnie jak niektórzy z postaci Barriego) dopóki przez występowanie w radiu i dublowaniu ról w teatrze nie zwrócił na siebie uwagi aktorów i filmowców w Londynie.

Znając go od tak dawna przyjemnie jest stwierdzić, że powodzenie zupełnie go nie zepsuło i że jest zawsze wierny swoim pierwszym przyjaźniom. Tak np. nazwał swój dom „Farrigan” biorąc pomysł z nieudanej sztuki Bridiego.

Jonathan Trafford

pyta. Pani Henderson jest w siódmym niebie! Jeszcze tylko musi wypisać swoje nazwisko i adres na formularzu, uiszczyć małą opłatę — i opuszcza biuro, z łonem wozbrany wdzięcznością.

Tysiące ludzi przychodzi tam codziennie z podobnymi pytaniami i codziennie wielu z nich opuszcza urząd z jakąś paczką pod pachą. Widocznie warto było pofatygować się te 10, 20, czy 30 km, aby odzyskać swoją własność.

Oczywiście, że są i tacy, którzy wychodzą niezadowoleni, a nawet rozgoryczeni na zły los, który nie pozwolił odnaleźć cennego parasola.

Parasole, rękawiczki, fajki, portmonetki, torebki, portfele, biżuteria (czasami bardzo cenna), okulary, książki, nesesery, kartki żywnościowe, różne części garderoby — oto lista przedmiotów, gubionych najczęściej.

W podziemiach Biura Rzeczy Zagubionych są półki, na których spoczywa 30.000 różnych przedmiotów, zagubionych w ciągu trzech ostatnich miesięcy. Konduktorzy zatrudnieni w Urzędzie Transportowym, przynoszą je do garaży lub składów. Rzeczy te, w zapieczętowanych workach, wedrują następnie na Baker Street, gdzie są sortowane.

Niektórzy ludzie gubią dziwne rzeczy. Konduktorzy odnajdują sztuczne szczyki, protezy rąk, butelki whisky i egzemplarze biblii.

Mając taką posadę, jak Saunders, można czasem serdecznie się uśmieć. Człowiek napatrzy się na roztargnionych pasażerów, rozmawia z oszustami, którzy niczego nie zgubili — naprawdę taka praca, to zabawny kawałek chleba.

Na przykład zdarzyła się autentyczna historia z kanarkiem w klatce, którego zostawiono w autobusie. Przez dwa tygodnie nikt się o niego nie upomniał. Aż wreszcie któregoś dnia zjawia się na Baker Street jakaś starsza pani i pyta czy nie znalazła kanarka. Urzędnicy nie mo-

gli zrozumieć, dlaczego tak późno się o niego upomina.

„A bo to proszę pana — wyjaśnia paniusia — ja musiałam wyjechać i nie było w domu nikogo, kto by się zajął ptaszkiem. Więc pomyślałam, że państwu to pewnie nie zrobi różnicy, jak kanarek tu pobędzie i z pewnością nie dadcie mu zgłodu zdechnąć”. Urząd wyznaczył jej dodatkową opłatę za wyżywienie i opiekę nad kanarkiem.

Wchodzi starszy pan, profesor, widocznie bardzo podniecony. „Czy nie znaleźli panowie pary nowych butów, które zostawiłem w autobusie na Baker Street?” — pyta. Po długich pytaniach, urzędnik wpadł na pomysł, by zapytać profesora, co ma w paczce, którą trzyma w ręku. Były to właśnie buty.

Jakiś przyjezdny z Południowej Afryki zgubił w Whitehall paczkę suszonych owoców. Chciał z nich zrobić prezent jednemu z ministrów. Biuro Rzeczy Zagubionych i tym razem mogło zadowolić swego klienta — no i ministra.

Od rzeczy, wartości do 1 funta Urząd pobiera opłatę taką, jak za 7 km jazdy kolejką podziemną. Jeżeli wartość przewyższa 1 funt — to dodaje się 10% ogólnej wartości danego przedmiotu. Rzeczy, o które nikt się nie upomniał, po trzech miesiącach zostają sprzedawane na licytacji publicznej.

W zeszłym roku Biuro Rzeczy Zagubionych na 277.590 przyniesionych przedmiotów, zwróciło prawym właścicielom 106.544. Ażeby zapewnić sprawne funkcjonowanie, biuro zatrudnia 40 urzędników, którzy odznaczają się uprzejmością, zawsze służą pomocą i szczególnie dbają o to, by zapewnić opiekę zagranicznym turystom, którzy łatwo mogą stracić orientację w ogromnym systemie londyńskiej komunikacji. Największą satysfakcję sprawuje urzędnikowi uradowany okrzyk klienta: „To właśnie to!” i widok zasnucionej twarzy, którą nagle rozpromienia błogi uśmiech.



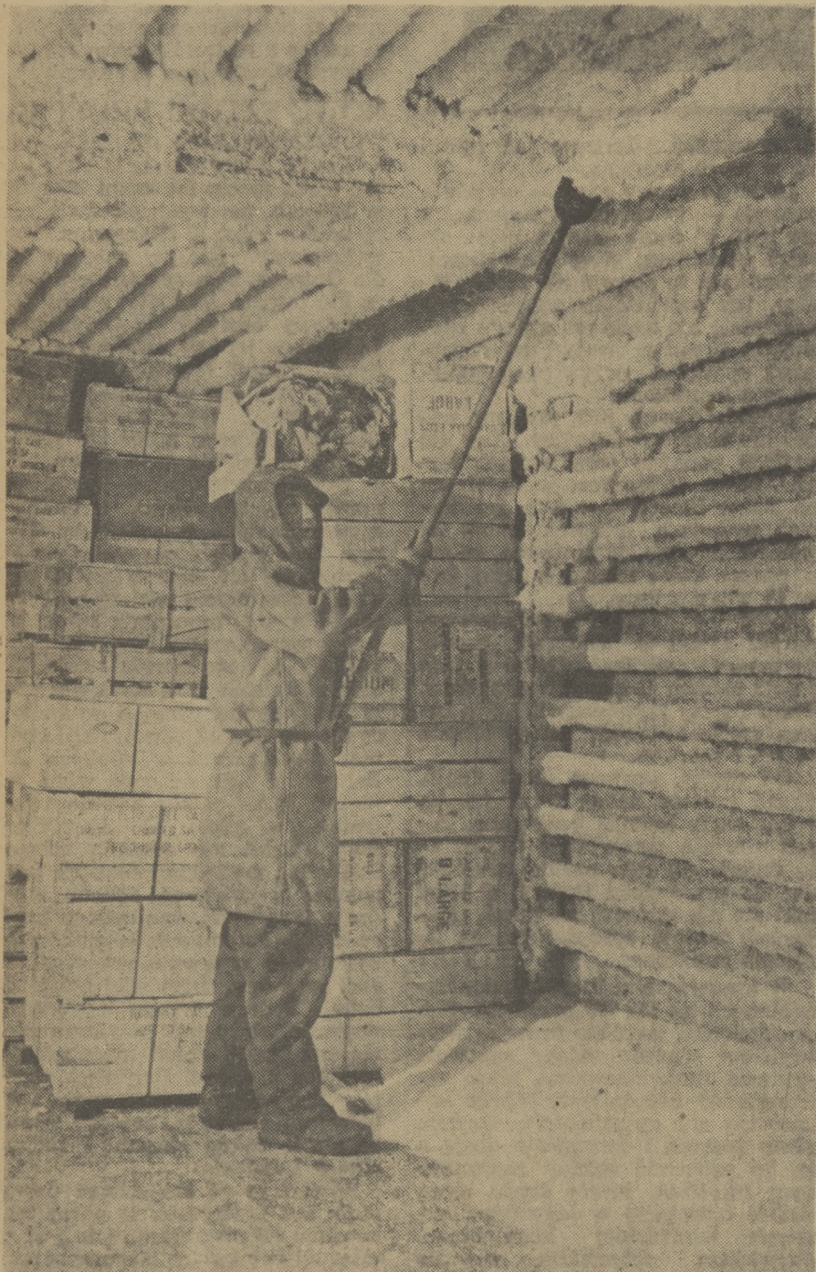
BILLINGSGATE MARKET ISTNIEJE 1000 LAT

LONDYN posiada liczne i rozmaite hale targowe, które powstały w zamierzonych czasach całkiem samorzutnie. Próby bowiem planowego zorganizowania takiej hali kończyły się dotąd zawsze niepowodzeniem. Jedną z najciekawszych wielkich hal targowych w Londynie jest Billingsgate Market, w której koncentruje się cały handel rybami stolicy i przeważnej części południowej Anglii. Hale te są tak starodawne, że nikt dokładnie nie wie, kiedy je zbudowano — przechowane w British Museum stare rękopisy saksońskie wspominają już o ich istnieniu, a niektóre przepisy regulaminu, datujące się z r. 976, do dziś

dnia obowiązują na tutejszym terenie.

Budynek, w którym mieszczą się hale, stoi na brzegu Tamizy, poniżej Londyńskiego Mostu; prowadzą tu strome i wąskie uliczki, które już od wczesnego rana zatłoczone są autami ciężarowymi, wozami i taczkami właścicieli sklepów detalicznych, śpieszących po zakupy. Między tymi wózkami zręcznie przeciskają się tragarze, niosąc na głowach paki z najrozmaitszymi rybami, mokrzy od ściekającej z ładunku wody.

Tragarze ci, to bardzo charakterystyczne postacie; ubrani w płócienne kitle, które niegdyś może były białe, prawie wszyscy uży-



Tu przez cały rok panuje zima: chłodnia w halach rybnych utrzymuje stałą niską temperaturę 22 stopni poniżej 0. Ryby w tych warunkach mogą leżeć tu latami.



A oto drugie zdjęcie chłodzi w Billingsgate Market. W ciągu czterech godzin ryby zamarzają na „kość”. Gromadzi się tu zapasy na najtrudniejsze „żywnościowo” miesiące zimy (101. Times).

wają oryginalnych, skórzanych kapeluszy o dużym, zazwyczaj kwadratowym rondzie i specjalnie kawałkiem grubej skóry umocnionym denku. Kapelusz taki jest najcenniejszą własnością tragarza, przekazywaną od pokoleń z ojca na syna. To też w okolicy hali istnieje specjalny typ szwaczów, zajmujących się naprawą tego dziwnego nakrycia głowy.

Tragarze, nie posiadający przepisowego skózanego kapelusza zastępują go starym melonikiem lub cylindrem, które z biegiem czasu nabierają oczywiście najdziwniejszych kształtów.

Niektórzy pchają lub ciągną taczki naładowane rybami — zwykły przechodzień musi tu bacznie uważać, by nie narazić się na przejechanie albo przynajmniej na potrącenie. Na chodniku stoją poważnie wyglądający panowie z notesami w rękę, w których co chwila coś zapisują. Inni kredą kreślą jakieś hieroglify i skróty na pakach pełnych ryb. Każdy się tu ogromnie śpieszy, a używana w Billingsgate angielszczyzna jest zupełnie swoistą gwarą. Kobiet nie spotyka się tu prawie wcale — mężczyźni zaś przemawiają do siebie hałaśliwym i ochryplym gło-

sem. Gdzieś tam stoją grupami i popijają wrzącą herbatę, parującą z grubych, porcelanowych garnuszków.

Sama hala jest wielką, otwartą budowlą: wzdłuż ścian ciągną się wysokie biurka, przy których hurtownicy załatwiają swe sprawy. Targ podlega jurysdykcji Londyńskiej Korporacji, która wynajmuje stoiska za pobieraną co tydzień opłatą. Niektóre firmy zajmują to samo stoisko już od dwustu lat, a nawet dłużej.

Hala utrzymana jest we wzorowej czystości — by ułatwić sprzątanie, stoiska są ruchome, a druty telefoniczne przeprowadzone bardzo wysoko. Każda firma ma swój aparat telefoniczny, który zwisa z dachu w małej skrzynce i daje się w razie potrzeby przyciągnąć do biurka. Najdziwniejsze jest to, że w panującym tu nieustannie gwarze rozmowa przez telefon jest w hali wogóle możliwa.

Niektórzy twierdzą, że nazwa Billingsgate pochodzi od króla Belina, który panował w Anglii m. w. 400 lat przed Chr. i postawił w tym miejscu bramę. Mniej romantycznym jest pogląd, że niejaki p. Billing posiadał tu własną przystań. Faktem nie ulegającym

wątpliwości jest natomiast, że targ rybny odbywa się tu już z górą tysiąc lat, kroniki podają bowiem już od tego czasu rozmaite, obowiązujące tu zarządzenia, jak urzędowe ceny ryb i opłaty, które składali rybacy wyładowujący tu swój towar, oraz rozmiary i siłę sieci, których wolno im było używać. W średnich wiekach koncentrował się tu handel ostrygami i solonymi śledziami, które z Anglii już wówczas eksportowano, głównie do Włoch.

Artur Bush

Uwaga Prenumeratorzy!

Wpłaty za prenumeratę „Głosu Anglii” prosimy uiszczać tylko za pomocą zwykłych przekazów pocztowych na adres:

Kraków, Garncarska 14/2
Redakcja „Głosu Anglii”

PŁYTA gramofonowa w Anglii będzie obchodziła w tym roku swój jubileusz. Nie fonograf, ani patefon, ale właśnie okrągła, płaska płyta, na której trasa dźwięku jest wytłoczona lub wyciśnięta. W ciągu ostatnich 50 lat, mimo wielu eksperymentów i zmian, czarna, ciężka i niezręczna płyta zyskała popularność, a instrument, na którym jest nagrywana za pomocą ruchomej obrotownicy i skrzynki rezonansowej, zdobył sobie ustalone miejsce.

Pierwszą płytę gramofonową nagrano w Anglii w r. 1898, a wiadomość o niej ukazała się w tymże roku w katalogu gwiazdkowym wydanym przez Towarzystwo Gramofonowe.

Nie udało mi się dotąd zdobyć kopii tej płyty, lecz moi agenci wyruszyli na poszukiwania po strychach i antykwariatach i jeśli ją znajdą, mam zamiar ją oprawić i ofiarować dyrektorowi biur przy Maiden Lane 31, w Londynie, gdzie została zrobiona, aby mogła wisieć na ścianie dla upamiętnienia narodzin płyty gramofonowej w W. Brytanii przed 50 laty.

Ileż setek tysięcy płyt zostało do tego czasu nagranych w studiach wielu krajów i ileż milionów kopii rozeszło się po całym świecie. BBC posiada w swej bibliotece płyt ćwierć miliona egzemplarzy. Kierownik biblioteki pisał w czerwcu 1947 r., że przeciętnie 15 tysięcy płyt wypożycza się miesięcznie różnym stacjom BBC do nadawania w całości lub częściowo. Dodał on, że chyba najrzadszą płytą w bibliotece była aria „Non più andrai” z „Wesela Figara”, śpiewana przez Sir Charlesa Santley'a (H. M. V 052000, nagrana w Londynie w 1903 r.).

Oczywiście znawcy starają się zgromadzić dobre kopie nagrań wielkich śpiewaków przeszłości. Inni znowu specjalizują się w kolekcjach płyt jednego czy dwóch śpiewaków lub muzyków, dyrygentów i orkiestr lub też nagrań piosenek rewiowych, lekkich oper, recytacji, muzyki tanecznej itd. Ponieważ zbieracze w wielu

CHRISTOPHER STONE

Gramofon

jako namiętność



Christopher Stone

krajach mają zwyczaj pomagać sobie w wymianie rzadkich duplikatów, powstał specjalny rynek używanych płyt, na którym ceny zaczynają się stabilizować. Różnice zdań co do rzadkości i ceny płyt ogromnie podniecają zbieraczy.

Jedną z przyczyn tego podniecenia jest to, że zainteresowanie gramofonem w W. Brytanii jest amatorskie, nie zawodowe. Trzeba przyznać, że na ogół zawodowi muzycy niechętnie udzielali swego błogosławieństwa płytce gramofonowej. To samo można powiedzieć o przedstawicielach władz wychowawczych i kulturalnych. Towarzystwa płyt gramofonowych w W. Brytanii otrzymały właśnie od amatorów muzyki podniecie, zachętę i poparcie finansowe, co pozwoliło im wzrosnąć w potęgę i znaczenie. Dopiero niedawno British Council zdecydowało się subsydiować nagrywanie dzieł kompozytorów i poetów, które inaczej nie mogłyby współzawodniczyć na polu handlowym z

bardziej popularnymi rodzajami płyt. Poza tym egzotyczny miłośnik muzyki — maharadża Mysore — finansuje nagrania towarzystwa His Master's Voice, obejmujące 4 albumy dzieł weterana rosyjskich kompozytorów Medtnera, które zostały uświetnione przez udział i nadzór samego mistrza.

To amatorstwo, które z gramofonu robi raczej ulubioną rozrywkę, niż przedmiot handlu, charakteryzuje dobrze rozwój T-wa Gramofonowego oraz czasopisma „The Gramophone”.

Niedawno odbyło się w Londynie doroczne zebranie i obiad, wydany przez Federację Narodową Towarzystw Gramofonowych, na które przybyli przedstawiciele niemal wszystkich 132 pokrewnych towarzystw ze wszystkich stron Zj. Królestwa. Jest to młody związek i prawdopodobnie istnieje jeszcze co najmniej sto podobnych towarzystw, dotąd z nim nie związanych. Entuzjazm pana W. W. Johnsona dał początek tej organizacji w 1936 r. Jego celem było ożywić ten ruch i gromadzić miłośników muzyki co pół miesiąca lub co miesiąc dla wysłuchania płyt, będących w posiadaniu członków towarzystwa. Miały tam być również pogadanki i wykłady ekspertów, a zwłaszcza dyskusje, prowadzone przez członków. Te towarzystwa gramofonowe, rozsiane po całym kraju zarówno mniejsze, jak i większe — (przeciętnie posiadają mniej więcej 50 członków)

są bardzo ruchliwe i dobrze się rozwijają.

6 lub 7 tysięcy entuzjastów, mających centralne biuro Federacji Narodowej w Londynie przy ulicy Museum 25 W. C. 1., ma coraz większy wpływ na wytwórnię płyt, od których domaga się swych ulubionych utworów. Do Brytyjskiego Związku przyłączyły się już różne zamorskie towarzystwa gramofonowe, jak t-wo Afryki Po-

townego gramofonu. Wiedział, że musi być wielu miłośników muzyki, którzy, podobnie jak on sam, nie mogąc usłyszeć płyt przed kupieniem ich, ohotnie poparliby czasopismo, w którym byłyby wymienione opinie i sądy znawców. W piśmie takim — jak sądził — nieuprzedzeni czytelnicy mogliby znaleźć krytyki ekspertów, dotyczące nowych nagrań, sprawozdania o nowych apar-



Pierwsze nagrania na płytach zostały dokonane w 1911 r. Na zdjęciu: Paderewski po raz pierwszy gra dla... płyt, a tym samym i dla potomnych.

łudniowej i zapewne chętnie utworzonoby też filie na kontynencie europejskim.

Czytając szczegóły, opowiadane przez F. W. Gaisberga w jego książce „Muzyka na płytach” o posiedzeniach towarzystw gramofonowych w całej Europie od pierwszych zebrań w Rosji i Warszawie aż do r. 1937 w Pradze, gdzie wykonano wspaniałe nagrania koncertu wiolonczelowego Dwořaka w wykonaniu Casals — odczuwa się tęsknotę za ponownym nawiązaniem owych przedwojennych kontaktów kulturalnych, z których korzystali wszyscy miłośnicy muzyki w Europie. Obecnie wymiana płyt jest bardzo utrudniona i amatorzy w W. Brytanii mogą tylko ze spisu nagrań płytowych różnych krajów europejskich, publikowanego w piśmie „The Gramophone”, zdać sobie sprawę z warunków istniejących w tej dziedzinie poza wyspami Brytyjskimi.

„The Gramophone” jest miesięcznikiem, który w bieżącym roku wyjdzie w swym trzechsetnym numerze. Został on założony w 1922 r. przez znanego autora Comptona Mackenzie. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek, kto zna to pismo, nie zgodził się ze mną, że był to dla amatorów muzyki wyjątkowo szczęśliwy dzień, kiedy Compton Mackenzie stwierdził, że spośród przeszło 200 płyt, przysłanych mu z Londynu, prawie wszystkie go rozczarowały. Wybrał on tytuły i artystów z katalogów i sprowadził płyty do swego kosz-

tach i ich częściach składowych oraz miarodajne artykuły o sprawach muzycznych i o płytach gramofonowych, zamieszczonych w ogólnych katalogach.

Nie mylił się w swoich przypuszczeniach, chyba o tyle, że reakcja publiczności obejmowała nie setki, a tysiące osób. Jego inicjatywa została poparta przez stowarzyszenia handlowe, które podziwiał jego zapal, zaufały jego sądowi i powitały z uznaniem zdrową i szczerą krytykę przewodników i doradców rozrastającej się społeczności miłośników gramofonu.

OCHRONA GINĄCEJ FAUNY

Rząd włoski wydał ostatnio rozporządzenie udzielenia zasiłków na ochronę parku narodowego, Gran Paradiso. Decyzja ta została z radością przyjęta przez tych wszystkich, którzy żywo interesują się ochroną przyrody. Przyrodnicy byli wyraźnie zaniepokojeni sprawozdaniami z konferencji ochrony przyrody, odbytej w Brunnen w końcu czerwca 1947 r., z których wynikało, że Ministerstwa Rolnictwa i Leśnictwa usunęły z braku odpowiednich funduszy 60 dozorców Gran Paradiso. Rezultatem tego mogło być tylko szybkie wyginięcie większości żyjących tam zwierząt z powodu kłusownictwa, które rozwieliło się po wojnie.

Strata byłaby poważna. Gran Paradiso jest jedną z dwu ostatnich siedzib alpejskiego kozła skalnego (ibex), ze wspaniałe w tył zakręconymi rogami. Drugą jest szwajcarski park narodowy. W Gran Paradiso żyje prawie 900 kozic i jest on może ostatnim schronieniem dla alpejskiego niedźwiedzia, wymarłego w Szwajcarii od 1904. Jeśli przyszłość tego największego naturalnego rezerwatu górskiego została teraz zapewniona przez rząd włoski, jest to wielkie zwycięstwo. Słusznie więc można się spodziewać, że przyłączenie do parku obszaru Brenta-Adamello, jak to proponują niektórzy przyrodnicy włoscy, zrealizuje się pewnego dnia.

Większość europejskich dzikich zwierząt wyginęła prawie zupełnie, a rezerwaty dla nich są nie liczne i w czasie wojennego zamętu były narażone na specjalne niebezpieczeństwo. Nawet w Szwajcarii, kraju, który uniknął wojny, odosobniony i wspaniale prowadzony park narodowy został zagrożony przez propozycję uregulowania jednej z jego rzek dla celów elektryfikacji. To zmieniłoby zupełnie charakter parku i taktkę, jaką się dotąd kierowa-

no, by w granicach możliwości wykluczyć zupełnie niepokój, jaki wprowadza człowiek.

W krajach zniszczonych wojną los rezerwatów naturalnych z pewnością był katastrofalny. Nawet teraz trudno jest się dowiedzieć o nich coś konkretnego. Mało się wie o tym, co się stało w Niemczech, chociaż niektóre obszary zostały tam oddane pod ochronę. W Polsce, okazującej zawsze dużo zainteresowania tą sprawą, widać oznaki odradzającej się działalności. W Krakowie wychodzi doskonały miesięczny biuletyn sprawozdawczy na temat ochrony przyrody.

Polska ma pieczęć nad leśnym typem najszlachetniejszego i może najrzadszego ze ssaków kontynentalnych: europejskiego bizona (żubra), (który żyje w rezerwach w Puszczynie, Niepołomicach i Białowieży. Przypisek tłumacza). Przed wojną ostatnie okazy innego zwierzęcia, mało co różniącego się od bizona europejskiego i należącego do tej samej rasy, tak zwanego bizona kaukaskiego, znajdowały się w Askania Nova w Rosji, w pobliżu cieśniny Perekop. Młode bizona, wychowane tamże, przeniesiono z powrotem na Kaukaz. W Askania wychowano również dzikiego konia mongolskiego. Mało mamy wiadomości z Rosji, ale doczły wieści, że przynajmniej bizon tam nie wyginął, chociaż pozostało kilka tylko dzikich koni.

Zwierzęta, jak bizon, ibex, kozice, niedźwiedź, nawet wilk są przedstawicielami pięknej i ciekawej fauny. W nowoczesnym świecie, w którym człowiek wytworzył nieodpowiednie warunki dla ich bytowania, życie ich jest niepewne. Z ulgą zatem witamy fakt, że kiedy niepokoję wojenne powoli zaczyna przycichać, przyrodnicy wszystkich narodowości mogą i chcą przedsięwziąć coś, by zapewnić im bezpieczną egzystencję.

Program koncertów BBC

nadawanych codziennie o godz. 23 na fal 1796 m.

Niedziela 18. 1. 48. Muzyka lekka w wykonaniu Winifred Atwell i Donald Thorne (na dwa fortepiany), oraz Arthur Gleghorn (flet).

Poniedziałek 19. 1. 48. Brytyjska muzyka współczesna (III) Robin Orr i William Alwyn — Recital Watsona Forbesa (wiola) i Alana Richardsona (fortepian).

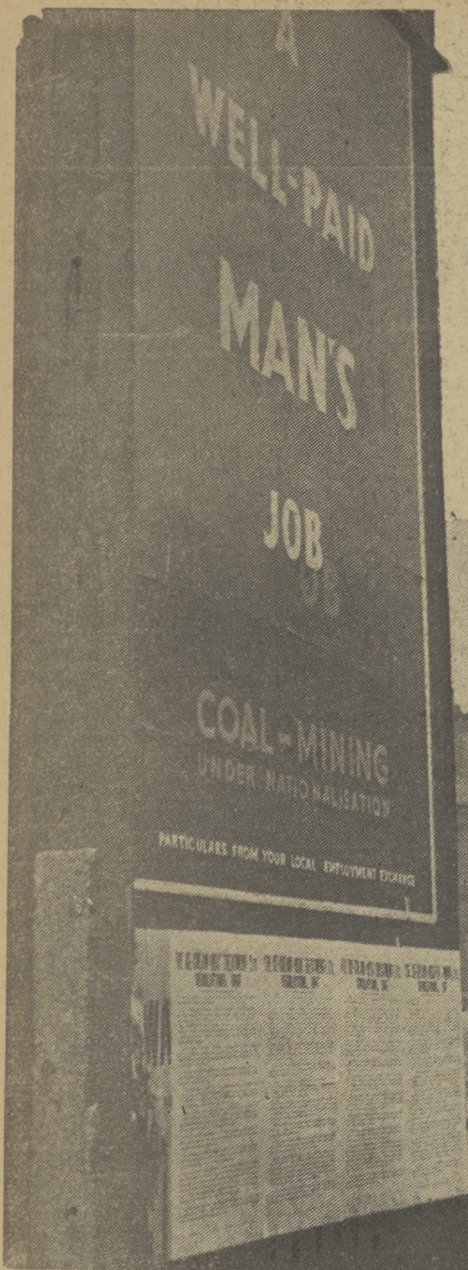
Wtorek 22. 1. 48. Holst i Britten — Venus i Jupiter (fragmenty z „Planets” Gustawa Holsta) oraz interludia z „Peter Grimes” (Britten).

Środa 21. 1. 48. Recital wiolonczelowy w wykonaniu Williama Pleetha.

Czwartek 22. 1. 48. Recital śpiewaczy Flory Nielsen (mezzo-sopran).

Piątek 23. 1. 48. Program w opracowaniu Jacka Bornera

Sobota 24. 1. 48. Utwory Beethovena na fortepian w wykonaniu Kendall Taylor — Sonata A-moll, Op. 110 i Sonata F-dur, Op. 78.



Postanowiłem szukać pracy. Może zapewnią mi w przyszłości dobre warunki materialne (nie tak jak robota w dokach, gdzie byłem niewykwalifikowanym robotnikiem) — a równocześnie chciałem, w swoim zresztą skromnym zakresie, przyczynić się do podniesienia poziomu produkcji w naszym kraju.

WĘGIEL jest najważniejszym trybem w maszynie pracującej nad odbudową — Polacy naprawdę rozumieją to równie dobrze, jak Anglicy. Osiągnięcie zamierzonego w r. 1948 celu — wydobyć

220 milionów ton węgla będzie dowodem, że prawie we wszystkich gałęziach przemysłu przebyliśmy duży szmat drogi, wiodącej ku przewyżczeniu naszych obecnych trudności. Osiągnięcie to spowoduje również, że będziemy

możli utrzymać nasz eksport węgla — podjęty w tym miesiącu po siedmioletniej przerwie — do tych licznych państw europejskich, które go potrzebują koniecznie do odbudowy swego przemysłu.

Wiele zależy oczywiście od

zmodernizowania naszych kopalni, toteż Państwowy Departament Węglowy, do którego należy zarząd brytyjskimi, unarodowionymi kopalniami, zamówił już w pierwszym roku swej działalności nowe maszyny, wartości 9 mi-

lionów funtów. Ważniejszą jest wszakże sprawa siły roboczej. Przed wojną w kopalniach brytyjskich pracowało około milion górników. Siedem lat wojennych, podczas których nie werbowano do kopalni, a przeciwnie, powołano do wojska znaczny procent młodych górników, zredukowało tę liczbę do zaledwie 700 tys. Zwerbowanie nowych sił jest zatem nagłą koniecznością.

Unarodowienie kopalni i wprowadzenie wielu ulepszeń w dotychczasowych warunkach pracy, jak 5-dniowy tydzień roboczy, podniesienie minimum wynagrodzeń na 4 i pół funta tygodniowo itd. — same przez się nie wystarczają, by przyciągnąć potrzebną ilość pracowników. Stare przesady mają bowiem twarde życie — gorzkie doświadczenie nabyte w przeszłości: niskie płace, przykre zatargi, częste bezrobocie, złożyły się na zakorzenienie w umysłach brytyjskiej ludności przekonania, że górnictwo nie jest zbyt atrakcyjnym zajęciem.

Departament węglowy i Ministerstwo Pracy rozpoczęło kampanię intensywnej propagandy, ażeby przekonać młodych ludzi, opuszczających obecnie armię i szukających zajęcia, że w górnictwie nastąpiły duże zmiany, że jest ono pięknym zawodem z dużą przyszłością. Dla tych, którzy pragną odbyć przeszkolenie górnicze, stworzono niesłychanie korzystne warunki, toteż akcja ta zaczyna już wykazywać dobre wyniki.

Nasz londyński korespondent i fotoreporter przeprowadzili ostatnio wywiad z jednym z „absolwentów” ośrodka przeszkoleniowego. William Smith był przed wojną niekwalifikowanym robotnikiem portowym. Po demobilizacji zapragnął nabyć fachowego wykształcenia w jakimś zawodzie, by poprawić sobie warunki bytu.

Przedstawiamy czytelnikom p. Williama Smitha, który sam opowie o tym, w jaki sposób urzęduje w kopalni swoje ambitne zamierzenia.

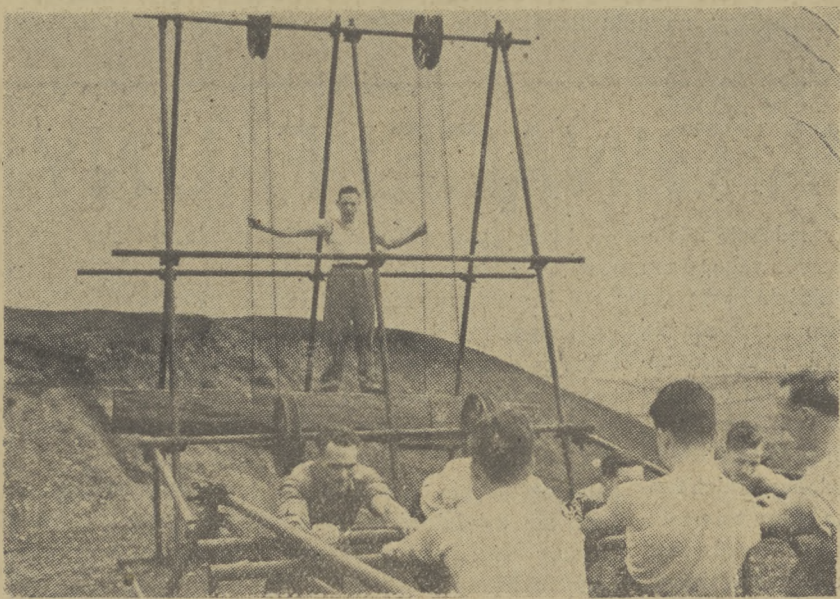
Z DOKÓW DO SZYBU



6 lat w służbie saperkiej podczas wojny nauczyło mnie, że tylko twarde i pełne roboty życie daje pełne zadowolenie. Spójrzcie na mnie; wyglądam zdrowo i silnie, a w kopalni jest na pewno masa roboty.



Jak pomyślałem, tak i zrobiłem. Poszedłem do Wydziału Pośrednictwa Pracy i zgłosiłem się do górnictwa. W kilka tygodni potem dostałem wezwanie do Centrum Wyszkożenia w Birley. Od razu natknąłem się na kierownika pana Hindmarea. Powiedział mi zaraz co i jak będzie przez te trzy tygodnie szkolenia.



Odkąd, wiecie, skrócono do trzech tygodni okres szkoleniowy — czas na ćwiczenia fizyczne ograniczono do minimum. Ale kiedy to tylko było możliwe, wykonywaliśmy gimnastykę dla wzmocnienia naszych sił. O na przykład w ten sposób podnosiliśmy na blokach ten wieki i ciężki pień wraz z naszym instruktorem, panem Bradleyem.



Mieliśmy przez cały okres szkolenia 20 lekcji z górnictwa — po półtorej godziny każda. Były pierwszorzędne! Uczyli nas ludzie o wielkim i wieloletnim doświadczeniu. Spójrzcie no, na sympatyczną twarz pana Keelona. Mówi nam o maszynach górniczych.



Oprócz nauki i gimnastyki, mamy jeszcze i trening górniczy, który odbywa się pod ziemią w kopalni. W ogóle wyobraźcie sobie, że jak tylko przyjechałem do Birley — to zaraz zeszedłem do kopalni. Chciałem się przekonać, jak to tam jest. Wydało mi się całkiem O. K!



Trzy tygodnie upłynęły jak z bicza trzaski. Wróciłem do domu, aby pożegnać się z rodziną. Idę już na stałe do pracy. Mama z początku trochę popłakiwała, ale jej wszystko wytłumaczyłem — przecież nie idę na wojnę, tylko do kopalni. Więc w końcu pożegnała mnie nawet z uśmiechem.



Robotę dostałem w kopalni Fryston w Yorkshire. Szedłem z walizką wśród zabudowań kopalnianych jak swój do swego po swoje. Nie jestem już przecież żółtodziobem. Znam się na pracy.



Zapisałem się u kierownika i zacząłem normalne życie górnik. A po robocie jest do kogo zagadać — gramy w szachy, warcaby. Najwięcej lubię jednak ping-ponga. Aha, jeszcze jedno. Nasze pomieszczenia są naprawdę komfortowe: centralne ogrzewanie, łaźnie itd.



Dzisiaj pochwalił mnie nawet kierownik kopalni. Czuję się bardzo szczęśliwy, gdy powlecział z uśmiechem: „Jak tak dalej pójdzie, to będzie z pana pierwszorzędny górnik”. Dobra nasza!



Tak wyglądają nasze „hostele” (pomieszczenia) od zewnątrz. Otoczone są miłymi ogródkami. Często spaceruję po alejach z dwoma, nowymi przyjaciółmi. Miłe chłopaki! Są bardziej doświadczeni ode mnie, bo dłużej już praktykują. Ale im dorównam.



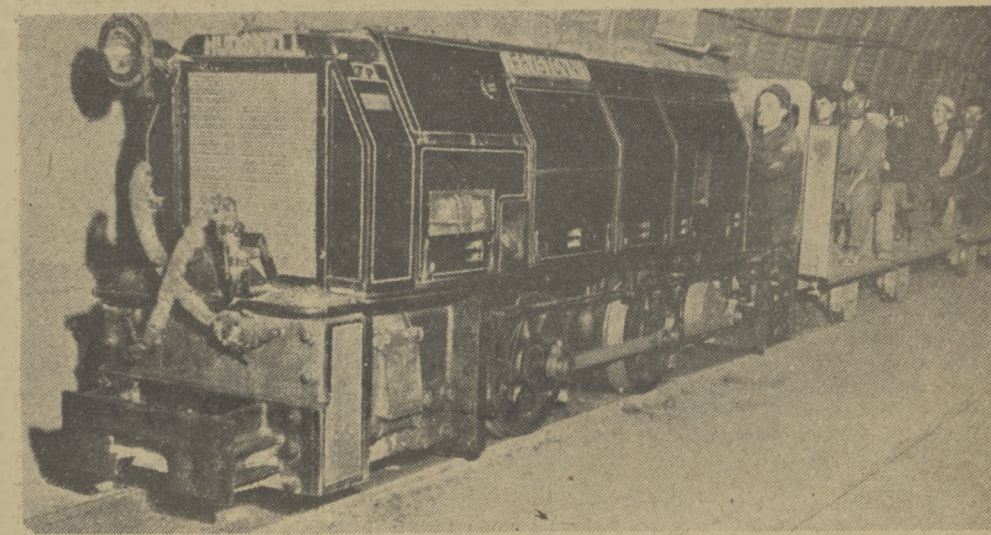
Jak już mówiłem, mamy wygodne pomieszczenia. Spimy po 12-tu w jednej sali. Każdy tu ma swoją szafkę i łupczan. Z początku nie mogłem się nawet rozglądać tak! Byłem zmęczony po pracy; a spać to mogłem nawet na sulicie.



Widzicie mnie: jak ze smakiem i uśmiechem zajadam obiad w kantine. Mam wilczy apetyt, ale my górnicy dostajemy podwójne racje. Jest tu zresztą bardzo tanio. Obiad kosztuje niewiele ponad 1 szylinga.



Już w pierwszym tygodniu zarobiłem o przeszło funta więcej niż dawniej, gdy robiłem jako niewykwalifikowany robotnik w dokach. A czuję się tu sto razy lepiej niż w porcie. Spotykam często dzieci, nieśmukające w pobliżu. Jak one się interesują górnictwem! I wyobraźcie sobie, wiedzą czasem więcej ode mnie.



Ta kolejka rozwozi nas do poszczególnych miejsc pracy. Oszczędza nam to wiele czasu, który musielibyśmy tracić na pieszą wózkę po chodnikach kopalnianych. Nie wiem, czy mnie teraz poznacie w stroju górniczym, ale ze mnie już górnik! Palę gębą, więc najlepiej zajęję się w tym ubraniu.

GRAHAM GREENE

MINISTERSTWO STRACHU

2) — Czy nie byłby pan skłonny — na podobnych uroczystościach jest taki zwyczaj — jeszcze raz wystawić główną wygraną na licytację — na dobry cel?

Coś w jego sposobie życia obraziło Rowę: jakiś nieuchwytny, protekcyjny ton nauczyciela, uświadamiającego nowo-przybyłego wychowanka o uświęconych obyczajach szkoły. — Przecież wszyscy już się rozeszli?

— Moznaby zorganizować licytację między kilku pozostałymi jeszcze osobami. — Proszę po raz drugi lekko scisnąć ramię Rowę'a. — Pan pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Sinclair. Mam podobno talent do kwestowania — zachichotał z lekka. — Widzi pan tę panią, to pani Fraser — mała licytacja między znajomymi dałaby jej sposobność wręczyć dyskretnie większą kwotę, na rzecz dobrego celu.

— Wcale mi się to nie wydaje dyskretnie.

— To niestychanie mili ludzie — chciałbym pana z nimi zapoznać, panie.

Rowe uparł się: — Cóż to za sposób organizowania festynu, nie pozwalając ludziom na zabranie wygranej.

— No, pan chyba nie przyszedł, żeby z festynu ciągnąć jakieś zyski? — W proboszczu tkwiły nieujawnione dotąd zasoby złośliwości.

— Wcale nie chcę żadnych zysków — proszę, oto cały funt, ale tort wóbie zabieram do domu.

— Proszę zwrócić się do obecnych z nieukrywaniem i nieuprzejmym odmiechem rozpaczy.

Rowe powiedział: — Czy może mam oddać „Małego lorda”? Pani Fraser mogłaby równie dyskretnie wręczyć pieniądze w księżce.

— Doprawdy nie ma powodu przybiegać tak ego tonu.

Nastój popołudnia popsuł się w każdym razie. Miłe wspomnienia, wywołane przez orkiestrę, zatarły się w niesmacznej sprzeczce. — Do widzenia — powiedział Rowe.

— Ale nie pozwolono mu jeszcze odejść — coś w rodzaju deputacji przybyło na pomoc proboszczowi, zjawiała się pani w ogromnym kapeluszu i powiedziała, uśmiechając się przymilnie:

— Niestety jestem zwiastunem złych wieści.

— Pani też chce mi odebrać ten tort? — zapytał Rowe.

— Muszę mieć ten tort — widzi pan, zaszła tu pewna pomyłka — co do wagi — on wcale tyle nie waży, ile pan zgadł — spojrzę na kartkę papieru — Ta ordynarna kobieta miała słusność — istotnie waga wynosi trzy funty i siedem uncji — i tamten pan — wskazała w stronę stoiska — wygrał tort.

Był to ów mężczyzna, który się zjawił w taksówce i podał go na miotlu pani Bellairs. Stał w zmroku, za stoikiem i pozwolił tym paniom walczyć w jego sprawie. Czy pani Bellairs dała mu lepszą wskazówkę?

Rowe powiedział: — To bardzo dziwne — czy ten pan odgadł dokładną wagę?

Dama zaważała się nieco z odpowiedzią — robiła wrazenie płatającego się w zeznaniach przed sądem świadka. — No, nie całkiem — omylił się tylko o trzy uncje.

Po chwili znów nabrała pewności siebie. Ten pan mówił, że tort waży trzy funty i dziesięć uncji.

W takim razie — ucieszył się Rowe — zatrzymuję tort, bo widzi pani, za pierwszym razem powięziamiem trzy funty i pięć. Proszę, oto pieniądze na dobry cel — dobranoc państwu.

Tym razem całkiem ich zaskoczył — oniemieli, nawet nie podziękowali mu za hojny datek. Wyszedszy za bramę obejrzał się i zobaczył, że grupa otaczająca stoisko z tortem pośpiesznie przyłącza się do reszty osób — skinał więc im ręką. Na afszu przytwierdzonym do bramy widniał napis „Fundusz pomocy dla matek wolnych narodów — festyn odbędzie się pod protektoratem Ich Kr. Mości”.

Arthur Rowe mieszkał na Gullford Street. W czasie jednego z pierwszych nalotów, bomba uderzyła w sam środek ulicy, rujnując domy po obu stronach, ale Rowe został na miejscu. Całe kamienice rozpływały się w gazy w ciągu jednej nocy. On jednak nie myślał o ucieczce. We wszystkich oknach była tektura zamiast szyb, a drzwi powypaczaly się tak, że trzeba je było na noc podplerać.

Rowe miał sypialnię i gabinet na pierwszym piętrze, a gospodarstwem prowadziła mu pani Purvis, która też została, bo był to jej dom. Wynajął od niej mieszkanie wraz z umeblowaniem. Nie zależało mu na żadnych zmianach. Był jak człowiek, obojętny na pustyni. Książki, które miał u siebie, pochodziły wszystkie z wypożyczalni, z wyjątkiem „Old Curiosity Shop” i „Davida Copperfielda”, które czytał nieustannie, jak inni czytają Biblię, tak że mógł cytować całe fragmenty na wrywki z żadanego rozdziału i od żadanego wiersza. Przywiązanie do tej lektury nie było wynikiem jakiegoś specjalnego umiłowania. Płynęło stąd, że czytał te rzeczy w dzieciństwie i że nie zawierały one żadnych wspomnień z lat dojrzałych. Obrazy na ścianach były własnością pani Purvis; jaskrawe akwarele, przedstawiające zatokę neapolitańską o zachodzie słońca, kilka stalerytów i fotogra-



fia nieboszczyka Purvisa w niezgrabnym mundurze z 1914 roku. Szkaradny fotel, stół nakryty grubą, szedelkową serwetą, paproć na oknie — wszystko to było własnością pani Purvis, a radio było wynajęte. Jedynie paczka papierosów na kominku należała do Rowę'a, a jeszcze szeczotka do zębów, przybory do golenia (mydło było pani Purvis), oraz prosto bromowa w tekturowym pudełku. W gabinecie nie było nawet kałamarza, ani papieru listowego. Rowe nie pisywał listów, a formalności podatkowe zalałwał osobiście na poczcie.

Nie dziwnego, że książka i tort mogły się wydawać poważnym przybytkiem jego majątku. Gdy znalazł się w domu, zadzwonił na panią Purvis.

— Pani Purvis — powiedział — wygrałem ten wspniany tort na festynie. Czy nie ma pani przypadkiem jakiegoś talerza, na którym by go można postawić?

— Ogromny tort, jak na obecne czasy — rzekła pani Purvis z głodną miną. Głód w jej spojrzeniu nie pochodził z wojennych ograniczeń: zawsze była głodna; zwierzała mu się czasem, że już jako dziewczynka była taką. Mała, chuda i niechlujna, zupełnie się opuściła po śmierci męża. O każdej porze dnia można ją było ujrzyć cmokającą cukierki; schody zaśmiecone były po kątach maleńkimi torebkami po dropsach i pachniały, jak sklep cukierka. Za każdym razem, kiedy nie można jej było znaleźć w domu, można było mieć pewność, że stoi w ogonku po słodczyce.

— Zażożyłabym się, że waży dwa i pół funta — rzekła pani Purvis.

— Waży blisko trzy i pół.

— Och, niemożliwe.

— Niech pani zważy.

Gdy wyszła, Rowe ślad w fotelu i zamknął oczy. Festyn minął. Przed nim rozciągała się niezmierna pustka całego tygodnia. Jego zajęciem zawodowym było dziennikarstwo, ale z tym skończył już dwa lata temu. Miał trzysta funtów rocznego dochodu i, jak to mówią, nie miał się czym trapić. Do wejścia nie chcieli go przyjąć, a krótkotrwałe doświadczenie służby w szeregach obrony narodowej pozostawiło go bardziej samotnym, niż kiedykolwiek — tam też go nie potrzebowali. Istniały jeszcze fabryki amunicji,

ale był związany z Londynem. Możliwe, że gdyby wszystkie ulice, z którymi łączyły go jakieś więzy, uległy zniszczeniu, mógłby odejść; znalazłby sobie jakąś fabrykę w pobliżu Trumpington. Po każdym urolocie miał zwyczaj wychodzić na miasto i z jakimś rodzajem nadziei notować sobie w pamięci, że taka to restauracja, albo taki to sklep przestały już istnieć. To było, jak pęknięcie krat więziennego okna. Coraz ich mniej. Pani Purvis wniosła tort w dużej puszcze od biszkoptów.

— Trzy i pół — syknęła z ironią. — Niech pan nigdy nie wierzy tym dobroczyńcom. Niecałe trzy — Otworzył oczy.

— To dziwne — powiedział. — To bardzo dziwne. — Zastanawiał się przez chwilę. — Niech mi pani ukroi kawałek. — Pani Purvis usłuchała skwapliwie. Tort był smaczny. — Proszę to odstawić — powiedział — to ten rodzaj, który im dłużej stoi, tym jest lepszy.

rosa. Ciemna, dławiąca smuga dymu „Caporala” rozszła się po pokoju.

— Pozwoli pan biskopka — zapytał Rowe, otwierając drzwi szafy. Jak większość samotników, sądził, że jego nawyki są nawykami wszystkich i nigdy nie przyszło mu na myśl, że ktoś może nie jadać biszkoptów o szóstej.

— Może wolałby pan kawałek tortu? — wtrąciła się pani Purvis, zaglądając przez uchylone drzwi.

— Może lepiej skończymy najpierw biszkopy.

— Torty — rzekł nieznajomy — nie nadają się do jedzenia w tych czasach.

— Ale ten — oświadczyła pani Purvis z dumą — jest na prawdziwych jajach. Pan Rowe wygrał go na loterii. — W tej właśnie chwili zaczął się dziennik. „Nasz korespondent Joseph Macleed odczyta państwu...” Obcy opadł na poręcz krzesła, nasłuchując. Było coś dziwnie zarozumiałego w jego zachowaniu się jak gdyby słuchał rzeczy, których prawdziwość on jeden mógł ustalić i ocenić.

— No, dzisiaj trochę bardziej pocieszające — rzekł Rowe.

— Tumania nas — sarknęła tamten.

— Nie chce pan tortu? — nalegała pani Purvis.

— Może ten pan woli raczej biszkopy...?

— Bardzo lubię tort, — rzekł nieznajomy ostro, — jeżeli to jest dobry tort. — Powiedział to tak, jakby jego gust był jedynym ważnym kryterium i przydeptał swego „Caporala” na podłogę.

— Wobec tego, proszę przynieść tort pani Purvis i herbatę też.

Obcy obrócił się całą swoją zdeformowaną postacią, żeby zobaczyć, jak gospodyni wnosi przysmak. Niewątpliwie musiał przepadać za tortem; nie mógł wprost oderwać oczu od niego. Zdawało się, że wstrzymał oddech, dopóki tort nie wyśladał bezpiecznie na stole, po czym pochylił się niecierpliwie w swoim krześle.

— A nóż, pani Purvis?

— O Boże, moja głowa! Zawsze wieczorem wszystkiego zapominam. To te syreny — tłumaczyła się pani Purvis.

— Nic nie szkodzi — powiedział Rowe — ukroję moim. Wydobyl czule z kieszeni ostatni swój skarb, wielki, uczniowski szczyrzyk. Nie mógł się powstrzymać od zademonstrowania jego uroków nieznanemu — karkociągą, szczyrzyków i ostrza, które wyskakowało i chowało się za pociśnięciem oprawki.

— Jest tylko jeden sklep, gdzie można teraz taki kupić — zachwalał — mały kramik w Haymarket.

Karzeł nie zwracał jednak na to najmniejszej uwagi, czekając w napięciu, kiedy ostrze zanurzy się w cieście.

Daleko, na krańcach Londynu, syreny rozpoczęły swój wieczorny lament.

— Otóż — rozpoczął nieznajomy — pan i ja jesteśmy inteligentnymi ludźmi. Możemy mówić swobodnie... o pewnych rzeczach. — Rowe nie miał pojęcia, co przez to rozumiał. Gdzieś wysoko, ponad ich głowami nieprzyjacielski bombowiec nadciągał od strony ujścia rzeki. Nie ukryjesz się... nie ukryjesz się... powtarzał monotonnie nierówny warkot jego silnika. Pani Purvis opuściła ich. Usłyszeli na schodach tupot i szelest, z jakim ciągnęła swoją pościel. Potem drzwi frontowe strzeliły, uciekała do swego ulubionego schronu na końcu ulicy.

— Nie ma potrzeby, żeby ludzie, jak pan i ja kićlić się o pewne rzeczy — powiedział gość. Jedno potworne jego ramie ukazało się w kręgu światła. Przybliżył się do Rowę'a, przechylając się w krzesło.

— Idźmyz tej wojny — powiedział. — Dlaczego pan i ja... ludzie inteligentni...? Mówią nam o demokracji — dorzucił — prawda? Ale pan i ja nie trawimy takich bredni. Jeśli pan chce demokrację — nie twierdź, że pan jej chce, ale jeżeli — musi jej pan szukać w Niemczech. Czego pan właściwie chce? — zapytał niespodzianie.

— Pokoju — odparł Rowe.

— O to chodzi. My też.

— Nie sądzę, żeby chodziło o taki pokój, jaki pan ma na myśli.

Ale nieznajomy nie przyjmował do wiadomości cudzych sądów — Możemy dać panu pokój — powiedział. — Pracujemy dla pokoju.

— Kto to „my”?

— Kto to „my”?

— Kto to „my”?

— Kto to „my”?

— Kto to „my”?

— Moi przyjaciele i ja.

— Pacyfiści? obrońcy sumienia?

— Co tam sumienie! — wydał pogardliwie wargi.

— Cóż można było innego zrobić? — rzekł Rowe. — Pozwolić im zabrać Polskę bez protestu?

— Pan i ja jesteśmy ludźmi, którzy znają świat. — Karzeł pochylił się jeszcze bardziej, zbliżył się razem z krzesłem, jakby był z nim zrośnięty. — Wiemy obaj, że Polska była jednym z najbardziej skorumpowanych państw w Europie.

— Kim jesteście, by sądzić?

Krześło skrzypnęło jeszcze bliżej. — Właśnie. Rząd taki, jakimiś inie... albo taki, jaki mamy...

— To jest tak, jak z każdą inną zbrodnią — rzekł Rowe z wolną — spada na niewinnych. To nie jest żadnym usprawiedliwieniem, że ofiara nie jest bez skazy, albo że sędzia pije...

Obcy powstrzymał go niecierpliwym skinięciem.

— Jakże się pan myli! — W głosie jego brzmiała jakaś nieznośna poufalość. — Cóż? nawet zabójstwo może być czasem usprawiedliwione. Wszyscy znamy takie wypadki, czyż nie...?

— Zabójstwo... — Rowe rozważał to słowo powoli i boleśnie. Nie miał zaufania do tego człowieka. Rzekł wreszcie: — Mówi się, że nawet do dobrego celu nie wolno dążyć poprzez zło.

— Och, bajeczki! — parsknął karzeł. — Etyka chrześcijańska! Pan jest inteligentny. Zadam panu jedno pytanie: Czy pan zawsze trzymał się tej zasady?

— Nie — rzekł Rowe. — Nie.

— Oczywiście, że nie — przytaknęła nieznajomy. — Czyż nie zbadaliśmy pańskiej przeszłości? Ale nawet bez tego mógłbym mniemać... pan jest inteligentny... — brzmiało to tak, jakby inteligencja była hasłem wstępu do jakiegoś ekskluzywnego stowarzyszenia. — W momencie, kiedy pana zobaczyłem, wiedziałem już, że nie jest pan owcą ze stada. — Wstrząsnął się gwałtownie. Na sąsiednim skwerze wypaliło działo przeciwlotnicze, aż cały dom zadrdzał w posadach. Znowu od strony wybrzeża zbliżył się pomruk samolotu. Działa naszczekiwały coraz bliżej, ale znowóżbny tenor silnika rósł. Nie zbaczając ze swej drogi, aż ponownie nad głową rozległo się chrapliwe: „nie ukryjesz się, nie ukryjesz się... i dom zachwiał się od detonacji pobliskiego dział. Potem gdzieś w górze zrodził się przenikliwy gwizd i świdrował przistrzeń, jak coś wymierzonego dokładnie w ten akurat, niepozorny budynek. Bomba wybuchła o pół kilometra dalej. Czulo się, jak ziemia ugłębia się pod nią.

— Mówiłem właśnie — podjął nieznajomy... nie mógł jednak odnaleźć wątku. Stracił panowanie nad sobą. Był teraz tylko kłęka, usiłującym nie bać się śmierci. — Będziemy mieli ładną zabawę — stęknął. — Miałem nadzieję, że nas ominą...

Zaświstało znowu.

— Jeszcze kawałek tortu? — zapytał Rowe. Było mu żal tego człowieka. On sam wolny był od lęku, nie dzięki odwadze, ale z powodu samotności.

— Może to nie potrwa... — poczękał aż wycie ustanie i nastąpi wybuch. Bardzo blisko tym razem; gdzieś o parę ulic zaledwie. „Mały lord” spadł na podłogę — długo — dokończył. Milczeli chwilę w oczekiwaniu następnej bomby, ale nie było już więcej.

— Nie, dziękuję... to znaczy, owszem, proszę. — Obcy miał dziwny zwyczaj kruszenia każdego kawałka ciasta przed zjedzeniem. To mogły być nerwy. Być kłęka w czasie wojny — myślał Rowe — to straszna rzecz. Czuj, jak jego niebezpieczna litość podchodzi mu do gardła. — Mówi pan, że zbadaliście moją przeszłość, ale kimże jesteście?

Ukroił sobie sam kawałek tortu i poczuł, że oczy nieznajomego śledzą go natarczywie, jak oczy niedzarda, sznigujące przez szkło witraży ludzi, objadających się w restauracji. Za oknem zaświergotała trąbka ambulansu i znowu rozległ się pomruk silnika. Nocne hałasy, pożary i zgony ruszyły już swoim trybem; pójdzie to już z regularnością rutyny dalej — do trzeciej, do czwartej nad ranem; ośmiogodzinna szczyta bombardującego lotnika. — Opowiadałem panu o tym nozu... — zaczął. Podczas ogromnego napięcia, jakie wywoływał nalot, trudno było utrzymać stały wątek myśli.

V. S. PRITCHETT

Pisarz, który wyprzedził swoją epokę

Słyszałem kiedyś uwagę, wypowiedzianą przez H. G. Wellsa o powieściopisarzu George'u Gissingu. „Biedny Gissing — powiedział on — sądził, że jest jakaś różnica między kobietą a damą. Nie ma żadnej różnicy, jak wszyscy wiemy”. Prawde mówiąc, nic o tym nie wiemy. Wydaje nam się, że Gissing zarówno w życiu jak i w swoich utworach nie był zawiedzionym romantykiem, lecz człowiekiem, który wyprzedził swoją epokę. Życie jego (urodził się w 1857, zmarł w 1903 r.) pokrywało drugą połowę uprzemysłowionego XIX wieku, która wydała również Shawa i Wellsa. Był to przypadek — chociaż bardzo prawdopodobny — że literatura ideologii społecznej rozwinięła się według błyskotliwych i praktycznych wzorów, nakreślonych przez optymizm Shawa i Wellsa. Stale rozrastająca się gospodarka Anglii pozwalała tym członkom klas drobno-mieszczańskich, którzy posiadali żywotność, inteligencję i energię, osiągnąć wyższy szczebel społeczny; lecz sprawa przedstawiała się inaczej, gdyby Anglia nie stawała się coraz bogatsza. Świadomość społeczną mógł być ogarnąć pesymizm; nacisk mógł być położony na duchowe ofiary walki klasowej, jak to było u Gissinga, a nie na ofiary jej strony materialnej.

Kiedy Wells pisał o tych przedstawicielach drobnomieszczaństwa, którzy posiadali dar zdobywania powodzenia, Gissing pisał o ludziach osaczonych, którzy byli zbyt słabi, zbyt czuli (jak twierdził z gorzką przenikliwością) na końcowy impuls rozkładającego się nad sobą egoizmu, prowadzącego do „gwałtownego runięcia w przepaść”. Dla tych ludzi walka przedstawiała się jako próba uchwycenia słabnącej rękoma duchowej treści życia.

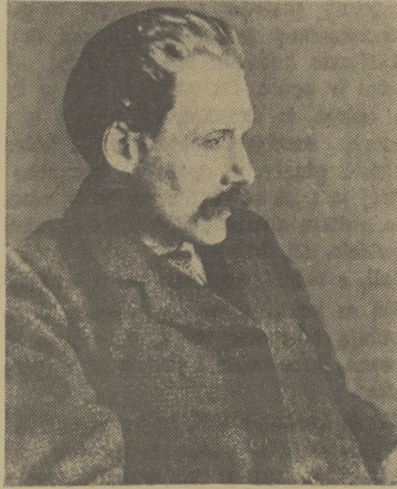
Dramaty zdeklasowanych, biednych kobiet, dziewcząt sklepowych, nauczycielek, krawcowych i guwernantek w powieściach Gissinga są zawsze zarówno natury psychologicznej jak gospodarczej. O Emmie Vine w „Deimos” powiedział: „Jej wielkim nieszczęściem było to, że uczucia jej były zbyt subtelne dla pozycji, w której los ją umieścił”. Emma jest jedną więcej wiktoriańską „damą”, która zapomina o tym, że jest kobietą; jeszcze jedną z ofiar komedii „dobrego urodzenia”.

Wśród bardziej błyskotliwych i towarzyskich postaci późniejszych wiktoriańskich powieściopisarzy, Gissing jest jedynym, który podkreśla oskarżycielskie samo-nieświadomościę siebie niepowodzenia, dumne milczenie samotnego człowieka. Jego niepowodzenie jest źródłem jego trwałości; jest on jednym z tych autorów, których udziałem nie jest ani zapomnienie ani nieśmiertelność, lecz których imię wlecie się wiąże w jak mś wiecznym czyszcem. Weźmy na chybił trafił jego książki: „Thyrza”, „Eve's Ransom” (Okup Ewy), „Denzil Quarrier”, „Odd Women” (Dziwne kobiety), „The Unclassed” (Zdeklasowani) — są dobrze, lecz sucho napisane, bez indywidualności, lecz zdrową, konwencjonalną prozą uczonego. Rozdziały psychologiczne są doskonałe wyargumentowane, a słowa nigdy nie są uskrzydłone, nigdy nie tracą gruntu. Dialogi są napuszone, chociaż cytowana gwar slumsów ma dużo życia. Akcja tych powieści kuleje; ich postacie przytoczone są brzemieniem rozżalenia lub jęczą pod nadmiarem dobrych chęci i dopiero kiedy przebrniemy przez ten pancerz spozstrzegamy, jak bardzo są żywe. Jeśli te bardzo poważne zastrzeżenia są słuszne, dlaczego czyta-

my Gissinga? Odpowiemy na to, że w niektórych punktach niemal wszystkich jego powieści, traktuje on poważnie sprawy, których żaden inny powieściopisarz nigdy nie brał na serio. Lektura francuskich i rosyjskich autorów pozwoliła mu w przenikliwy sposób zdążyć sobie sprawę z sytuacji jego epoki. Snobizm i zarozumiałość były przedmiotem dowcipów i drwin innych pisarzy angielskich. Nie-sprawiedliwość wywoływała u nich mamiętny sprzeciw, lecz kończyli oni na ograniczeniu się do ujmowania sprawy z punktu społecznego. Gissing zachowuje osamotnione, czyste osobiste stanowisko. Jest on myślicą istotą, która rozumuje sama z siebie. Jego wkładem w beletrystykę — zdaniem Virginia Woolf — jest pokazanie sposobu myślenia zwykłych ludzi, którym otąd odmawiano indywidualności myśli. Gissing tak samo, jak Francuzi i Rosjanie nie lęka się zarozumiałców i marzycieli. Wyrusza na poszukiwanie ich i można mu zaufać, że ich odkrywa.

Powiedziałbym, że żaden realistyczny powieściopisarz angielski nie naszkicował kobiet tak różnorodnie i tak prawdziwie. W tym sensie feministyczna powieść Gissinga „Odd Women” jest jedną z najbardziej interesujących. Jest to obraz samotności w zgiełku miejskiego życia. Kiedy się raz już przebrnie przez pierwsze rozdźwięki, wówczas starsowiecka, narracyjna metoda Gissinga przestaje razić. Życie pokazuje zębami. Samotne pokoje Londynu, samotni przechodnie przykuwają uwagę czytelnika. Widzimy trzy córki nieprzeciętnego lekarza, rzucane w wir życia bez przygotowania, niemal bez grosza, niedo- statecznie wykształcone i przerażone możliwością utraty swojej towarzyskiej pozycji. Przeciwsta-

wiona im jest gwałtowna, pełna życia młoda feministka Rhoda Nunn. Gissing przygotowuje dla niej najbardziej delikatny dramat psychologiczny. Wynajmuje dla Rhody Nunn człowieka światowego, którego ona nawraca na swój feminizm. Kiedy tego dokonała, spostrzeża, że kierowała nim nie miłość lecz próżność. Jej umysł oszukał ją; jest zmuszona postąpić niesłusznie i nielogicznie, jak każda „naiwna” kobieta. Burzy



George Gissing

swoje własne szczęście i wraca do samotności i zasad feminizmu. Przeszła przez trudną, duchową próbę, której Gissing poddaje wszystkie swoje bohaterki i wyszła z niej dojrzała, lecz oczywiście — nieszczęśliwa. Gissing gardził szczęściem. Posiadał konspiracyjną, młodzieńczą wyobraźnię.

Zarówno w życiu, jak i w literaturze Gissing stosuje metodę surowej krytyki kobiet, ażeby być później tym bardziej wynagrodzonym przez odkrywanie ich wdzięku. To prowadziło, oczywiście, do przesady w tym wynagradzaniu się i do rozczarowań w życiu,

lecz temu właśnie zawdzięczają jego dzieła cechującą je równowagę. Umiął bowiem być ironiczny i szarmancki. Oto portret pani Rossall w „A Life's Morning” (Poranek życia).

„Pani ta właśnie skończyła 32 rok życia; jej córeczki miały po 10 lat. Była przystojna i wiedziała o tym, lecz jakaś wrodzona opie- szczość nie pozwoliła jej zostać modną elegantką i wyrobiła w niej uposobienie refleksyjne, które, jeśli nie prowadziło do żadnej wybitnej oryginalności umysłu, w każdym razie przyczyniło się do pozorów kultury. W okresie śmierci jej męża znajdowała się w stanie, w którym błoga bezczynność przeradza się w niechlujstwo. Skłonności gospodarskie pani Rossall zarówno jak wyrastające z dzieciństwa jej bliźniaczki przypominały jej, że jej młodość minęła; nawet najnowsze modele wiosenne wzbudzały w niej tylko słabe zainteresowanie. Zaniedbała też muzykę, do której miała pewne zdolności. Wraz z wdowieństwem rozpoczęła się nowa faza w jej życiu. Jej żaloba była szczerą; skierowała ją na drogę pobożności; spędzała dni na wykonywaniu praktyk religijnych, a nocą na studiach najpoważniejszej literatury. Byłaby przyjęła religię rzymsko-katolicką, gdyby nie interwencja jej brata. Koniec tego trzeciego roku dyscypliny spowodował nową zmianę, może mniej widoczną dla niej, niż dla tych kilku osób, które śledziły z zainteresowaniem bieg jej życia. Jej lektura stała się mniej ascetyczną i obok dekorowania ołtarzy zaczęła myśleć o własnym wyglądzie”.

Gissing zapowiada typ, który stał się później częstszy: intelektualistka późniejszego pokolenia, wyrwana ze swego środowiska, odcięta od swojej sfery przez wy-

SZTUKA PRZYGODY

Eric Linklater: „The Art of Adventure”

Eric Linklater jest jednym z najbardziej popularnych, współczesnych powieściopisarzy brytyjskich. Najślawniejsze z jego dowcipnych, satyrycznych dzieł są: „Juan n America”, „Magnus Merriman”, „God likes the plan”. Zamieszczamy tu właśnie recenzję ostatniej jego książki: zboru esejów pt. „The Art of Adventure” czyli „Sztuka przygody”.

Historia opowiada, że człowiek pochodzący z wysp Orkney (półn. Szkocja), zabwszy starego św. Magnusa Męczennika, wyruszył na wyprawę Wikingów do Konstantynopola a po powrocie założył katedrę w Kirwall. Jest ona tak piękna, że śmiało może dorównać wszystkim wielkim katedrom chrześcijańskim.

Wyspiarze z Orkney są ludźmi o bardzo różnorodnych uzdolnieniach. Potrafią również w sposób bardziej oderwany spojrzeć na życie. Sam Magnus, w chwili swego nawrócenia, postanowił nie brać dalszego udziału w bitwie — chociaż był to dziwaczny moment na powieść e takiej decyzji, ponieważ znajdował się na wojennym statku w chwili rozpoczęcia akcji. Kapitan, zaproponował mu, by zeszedł pod pokład; lecz nie było to wcale po myśli Magnusa: Nie miał on zupełnie zamiaru szukać schronienia. A zatem wedle słów opowiadania: „siedział na pokładzie i rozczytywał się w swej księdze”, dopóki walka nie była skończona. Decyzja młodego człowieka przyjęta z szacunkiem przez jego kolegów (dla których z pewnością musiał być wielką zawadą) jest charakterystyczną cechą wybitnej indywidualności wyspiarzy. Indywidualność ta do dziś dnia nie uległa zasadniczym zmianom. Różnorodność i indywidualność są dominującą nutą nowej książki Linklatera: „The Art of Adventure”, która powstała na wys-

pach Orkney. Jest to zbiór esejów o literaturze i przygodach. Niezależny punkt widzenia, który jest jego cechą charakterystyczną, wyraźnie daje się spozrzeć, kiedy autor przechodzi do biografii różnych ludzi pióra czy też ludzi czynu.

Najlepszy jest szkic o generale Alexandrze, człowieku w guście Linklatera, spoglądającym na świat „pogodnie, spod brwi, które ledwo się unoszą w uprzejmym żdziwieniu”. Z powodu tej sympatii własnej, Linklater z taką radością zapisuje świetną odpowiedź, udzieloną przez Alexandra Montgomery'emu po 18-to miesięcznej zwłoce. Odpowiedź ta jest po prostu powtórzeniem protekcyjnej z lekka depechy, którą Montgomery przesłał mu, gdy razem odbywali kampanię we Włoszech. Monty zdobył przyczółek w Norlandi, a Alexander toczył wtedy ciężką walkę w okolicach Rzymu. „Dobrze zrobione” brzmiał meldunek Alexandra, „Trzymaj się, przybywam z pomocą”.

Linklater pisze też o Jean Armour, kochance Burnsa, poety szkockiego z XVIII w., i traktuje ją nie jako po prostu jedną z wielu kobiet w życiu Burnsa, w której to roli najczęściej ją przedstawiano, ale jako odrębną indywidualność, która zaważyła poważnie na rozwoju młodego poety.

Przez 8 lat była ona panią jego domu i od 29 do 70 lat swego życia nie wyrzekła się swych własnych zainteresowań. Zajmowała się między innymi wychowaniem 3 synów Burnsa. Jeden został urzędnikiem, a dwaj pozostali zrobili karierę wojskową w Indiach.

Wśród wielu swoich szkiców, Linklater zamieszcza jeden o Jamesie Bridie. Dramatopisarz ten jest znaną oryginalną postacią, by móc go zmieścić

w zwykłych ramach — i jak dotąd, krytyka przeważnie mało się nim zajmowała. Linklater opisuje swoje postacie z dokładnością człowieka paleolitycznego (do którego w rzeczywistości ogromnie jest podobny), malującego bizona, w głębiach skalnej jaskini. Jeśli kto zapaści się tam, by obejrzeć malowidło, to dobrze. Jeśli nie, obraz i tak pozostanie.

Na koniec jest kilka notatek o wojnie. Pierwszym jego krokiem, w tej nowej pracy była wyprawa do Islandii, by zebrać wiadomości o początkach żołnierzy alianckich, ulegających tu demoralizacji wskutek braku dozoru. Z małej książeczki napisanej na ten temat przechowały się 3 zdania w essay'u zatytułowanym „The Atlantic Garrisons”. Ciekawą rzeczą jest zauważyć, co autor wybiera jako godne uwag ze swych własnych prac. I powiem wam, że wspomniane zdania dotyczą młodej duńskiej lady, która z determinacją grała na fortepianie okrętowym, wychodząc w momentach, kiedy jej się robiło niedobrze i wracając, by dokończyć rozpoczętego utworu. A grała duńską piosenkę „Dz eń bez miłości nie jest dniem” i słandzką „Na falach dzikiego morza”.

Lecz szczytowym punktem wojennych przygód Linklatera i rzeczywistości całej książki jest chwila, kiedy znajdując florenckie arcydzieła sztuki w opuszczonym, toskańskim zamku, całuje trzy damy z „Primavery” Botticellego. „Pewnego dnia — mówi — zobaczę was znowu dalekie i zawieszono wysoko na właściwym wam miejscu w galerii Uffizj... Spojrzę na was z pewną poufałością; z samotnym, dumnym i tęsknym wspomnieniem”. Tak mógłby napisać morderca Magnusa. Tak napisze jego współziomek jeszcze po tysiącu lat.

WALTER ELLIOT
„The Observer”

kształcenie, a przez ekonomiczne i społeczne warunki od każdego innego miejsca w społeczeństwie. Z tego punktu widzenia powieści Gissinga są mniej przestarzałe, niż wczesne prace Wellsa; mimo wojen i rozległych zmian społecznych, zapomniane dzielnice dużych miast angielskich są ciągle przepełnione postaciami z powieści Gissinga, mimo że warunki materialne ich życia uległy poprawie. Ich główny problem psychiczny — problem społeczny przemysłowej — pozostaje nienaruszony.

„Ludzie natury, buntujący się przeciw miękkości i młodej atmosferze cywilizacji; ludzie rozsiani po całym świecie, zaledwie zdający sobie sprawę z tego, co chcą i czego nie chcą; a oto przychodzi ktoś, kto przemawia za nich — przemawia z pasją... mówi o brutalnej dzikości cywilizacji. Ludzkość nie znieśie tego dłużej — tego skrapowania ludzkiego ducha... Możemy logicznie spodziewać się, że zobaczymy naszych synów roz-targanych na drobne strzępy przez materiały wybuchowe, którego jeszcze nawet nie nazwano”.

Te słowa, wypowiedziane przez jedną z postaci Gissinga w „The Whirlpool” (Wir), a odnoszące się do wydanego utworu Rudyarda Kiplinga „Barrack-Room Ballads” (Ballady żołnierskie) — są ciągle aktualne.

(„New Statesman & Nation”)



Nauka

Prof. J. B. S. Haldane. Postępy wiedzy (Science Advances). Allen & Unwin.

Autor porusza wielką ilość zagadnień o ogromnej rozpiętości. Od imigracji ptaków do mikroskopu elektronowego i od osiągnięć Archimidesa i Newtona do teorii nowej Hitlera. Sposób ujęcia prowadzi do myślenia, a nawet wznieca coraz sprzeciw, ale prof. Haldane wierzy, że obowiązkiem naukowca jest wytłumaczyć czytelnikom o ile tylko da, zaś obowiązkiem czytelników — zrozumieć jak najwięcej.

Waldemar Kaemffert. Wiedza dzisiaj i jutro (Science Today and Tomorrow) Dennis Dobson. Jest to szeroki zarys współczesnych osiągnięć naukowych, mający na celu wypełnienie luki między światem pojęć specjalisty, a światem pojęć laika.

R. A. Smith. Radio w służbie nawigacji (Radio aids to Navigation). Ilustr. Cambridge.

Jako drugi tom z serii monografi o nowoczesnej technice radiowej (Modern Radio Technique), książka ta zajmuję się zastosowaniem radia, jako pomocy nawigacyjnej na statkach i samolotach.

John Read. Humor i humanizm w chemii (Humor and Humanism in Chemistry). Ilustr. Bell. Popularnie ujęta historia chemii od czasów alchemików aż do dni dzisiejszych.

Sztuka

Mildred Archer. Malarstwo szkoły Patna (Patna Painting) David Marlowe. Ilustrowana historia indyjskiej szkoły malarskiej z Patna, wskazuje na pierwsze wpływy kulturalne Zachodu w Indiach. Książka ciekawa nie tylko z estetycznego, ale i z socjologicznego punktu widzenia.

Biografia

S. R. Dhanpal. Polityczni przywódcy Indii (Political Leaders of India). David Marlowe. Zbiór portretów biograficznych mężczyzn i kobiet, którzy po przekazaniu władzy w Indiach, reprezentować będą interesy tego kraju, zarówno wewnątrz, jak i z granicą.

Powieść

Roger Lancelyn Green. Z końca świata (From the World's End) Opowiadających miejsca dla siebie w dzikim, dzisiejszym świecie. Jest to alegoryczna historia młodości i miłości, pełna przygód i dramatycznego napięcia.

Terence Hosley. Długi lot (The Long Flight). Country Life.

Autor jest lotnikiem i przyrodnikiem w jednej osobie. Poprzez fabułę książki przewija się, jako główny temat, motyw walki istot żywych z siłami przyrody. Książka ilustrowana jest przez C. F. Tunnicliffe'a.

MAŁY WÓZEK WIELKIEGO WIEKU

PRZEDMIOTY codziennego użytku, a już szczególnie te godziwego, praktycznego użytku, to na ogół rzeczy-kopciuszk. Patrzymy na nie, gubimy je i znajdujemy do zdumienia, a nikt ich naprawdę nie widzi. Chyba że... „psiakrew trzeba będzie oddać gźież do naprawy i ile to będzie kosztować”.

A przecież pomyślny tylko: Szekspir pisał pewno swoje sztuki gęsim piórem, które trzeba była maczać w inkauscie co chwila, strugać długo co parę chwil, i które bądź co bądź pochodziło z jakiegoś, choćby gęsiego, skrzydła. Naszym pocziwym, raz na trzy dni napelnianym wiecznym piórem gryzmolimy na kolanie artykuły do pism codziennych (tylko koniecznie przed szóstą!) a pióro — (powojenna tandeta moja pani) plaże wodnisto na nasze wodniste utwory. Rzeczy mają jed-

nak swoją wymowę, jeżeli je, że tak powiem, „pociągnać za język”.

Spróbujmy dzisiaj porozmawiać z dziecinnym wózkiem. Samoloty samolotami, ale każdy z nas od wózka przecie zaczynał, więc należy mu się kilka chwil uwagi i przez pietyzm (w takim właśnie wózekczku mój pradziadek...) i przez marksizm (otoczenie, towarzyszu, warunkuje człowieka itd. itd. itd.) i przez ciekawość (że też to moja pani, widział to kto?).

NUMER PIERWSZY to zdjęcie wózka dzieciennego z pierwszej połowy XIX wieku. Nie, nie, prosimy do nas nie pisać listów, nic nam się nie pomieszało, to wcale nie jest wózek szabrownika z zachodnich stref okupacyjnych, to jest naprawdę właśnie wózek dziecinnny. Ładny, prawda? I dziwić się tu potem, że jak taki uwarunkowany wózkiem obywatel dorósł, to wybudował słynne budowle wiktoriańskie! Jeżeli oczywiście wyrósł w ogóle. Bo zdarzało się w tych czasach bardzo często, że dzieciaki wypadły z wózka w czasie spaceru, rozbiły sobie nosy i kolana o krawędzie, a często ginęły, w ogóle — wszystko za plecami ciągnącej je i „o swoim” zamysłonej niani. Mottem epoki było zresztą słynne „laissez faire, laissez aller”. I rzeczywiście. Ci, którzy nie umieli „sobie pomagać” odpadali, a raczej wypadali już z wózka.

Cóż za kobiety, co za pojęcia, co za zwyczaje! — zawołają obrżone matki dzisiejsze, czytane, dyplomowane, trenowane i pouczone w przychodni „Kropka Mleka”.

Cóż za kobiety? Tak. To rzeczywiście ciekawe. Pierwsza połowa XIX wieku miała jak każda epoka swój odrębny typ. Typ w tym wypadku pretensjonalny i niezdrowy. Bogacaca się nagle i gwałtownie Anglia wytworzyła snobistyczny, można nawet powiedzieć „nowobogacki” ideał „lady”, ideał, którego schemat dała literatura romantyczna. Pseudo-średniowieczne „ladies” Scotta i Byronowskie sułtanki — oto pożywka pięknych pań, których dzieci jeździły w tym pięknym wózku. Panie zresztą nie wozily ich, rzecz prosta, same na spacer. Były to czasy, kiedy panie nie chodziły w ogóle. Marzyły. Czytały. Plotkowały. Nudziły się. Jako zawód... „podały się mężowi swemu”. To ostatnie nie było zresztą bez znaczenia. Aż do końca XIX wieku, kiedy to wydano „Married Women Property Act” cały majątek kobiety przechodził w dniu jej ślubu na męża. Akurat na odwrót niż „stoi” w przysiedze małżeńskiej, w czasie której mężczyzna mówi: „i wszystkim, co mam na ziemi, cię obdarzam...” Tak więc zależność kobiety od męża była kompletna. Moda zaś owych czasów wymagała, aby „żoneczka” była słaba, wrażliwa, zwierna i chorowita. Jak dalece opinia publiczna naciskać musiała w tym kierunku, świadczy wiersz Tennysona, napisany „aby pocieszyć i zachęcić młodą damę, której zarzucają, że chodzi na długie spacery na wsi”. Biedna młoda dama! Widać z wiersza, że ogromnie musiała być prześladowana, i że oczywiście była wyjątkiem.

Imne, jak to widać z powieści Jane Austin, grały na klawikordzie, zwierzały się przyjaciółkom i pozwalały się uwielbiać. Jeśli któraś przeszła pieszo pół kilometra, zatroskani przyjaciele robili jej gorzkie wymówki, że tak naraża swoje zdrowie i pakowali ją na tydzień do łóżka. Czyż taki romantyczny „nadmiany kwiat” mógł ciągnąć wózek? Z pewnością nie. Cóż szkodzi zatem, że wózek był brzydki, skoro ciągnęła go służąca? Ależ to mowa chyba tylko o ludziach najbogatszych, powie ktoś. Oczywiście. W tym samym czasie, kiedy bogate panie czytały romanse, kobiety ze sfer robotniczych i żony zubożałych farmerów zaczynały pracować zawodowo. One jednak nie miały wózków dziecinnnych. I dlatego nasz temat ich nie dotyczy.

NUMER DRUGI, to wózek z r. 1875. Ten już jest jakiś bardziej ludzki, choć paskudny (kosztuje 40 szylingów (1/8 dzisiejszej ceny, co za czasy!), ma budo, ma pretensjonalne, wysokie koła i niepotrzebną, brzydką galeryjkę. Widać na nim rękę mechanika, to już przecie trzecie ćwierćwiecze XIX wieku, ponad 50 lat od chwili założenia pierwszych Instytutów Mechanicznych dla dorosłych. Wózek ten nam się wydaje nieladny, ale przyznać trzeba, że chciano, aby był jak najładniejszy. Kto wie, może to już mamusia sama go czasem popycha? Mało prawdopodobne, bo służby ciągle jest bardzo dużo. Ale nie jest to już całkiem wykluczone. Mamusia zmieniła się bardzo od czasu drabiniastego wózka. Przede wszystkim — mamusia nauczyła się chodzić. Na tę nową modę złożyły się różne czynniki. Może na skutek zanikania życia wiejskiego i odchodzenia od przyrody do miast, malarze zobaczyli krajobraz, (De Wint, David Cox, Edward Lear). Zobaczyli i wprowadzili na niego modę. Zabrali się zresztą do „natury” także i literaci. Tennyson, Ruskin — to już ludzie, którzy widzą naprawdę i uczą patrzenia. Modna robi się turystyka. Anglicy, bogaci teraz i zabezpieczeni, zaczynają podróżować. Miasta rozbudowane i rosnące stają się odrobinę czystsze. Kobieta zaczyna wychodzić. I nie tylko zresztą wychodzić. Już nurtują całkiem nowe prądy. Człowiek stał się jakby odrobinę ważniejszy. W 1833 zniesiono niewolnictwo w Imperium — kosztowało to 20 milionów funtów. W tym samym roku ograniczono godziny pracy młodocianych. Kobieta zamożna już dopuszcza myśl o zarabianiu. Pracowały przecie siostry Brontë, pracowała słynna Florencja



Nightingale. Panie domagają się też uznania swoich praw. Pomaga im dzielnie John Stuart Mill. Nie ma już teraz kary śmierci za łada głupstwo, nie ma śmiertelnych pułapek na ludzi w parkach dla bażantów. Mniej jest bicia w szkołach, a za to więcej szkół i tańsze. Dzieci jest też więcej i mniejsza śmiertelność. Nie jeszcze wprawdzie nie wiadomo o psychologii niemowląt, ale jakoś je sobie przecie między innymi przypomniało i dostały porządną wózek. Jest on snobistyczny i pretensjonalny (ta wulgarna era przejściowa pomiędzy zanikiem rzemiosła i udoskonaleniem produkcji masowej, wytwarzała na ogół masę paskudztw) ale zawsze to wózek, w którym można leżeć i siedzieć i w którym jest się „na oczach” piastunki. A coż dalej mały człowieku?

OTO WÓZEK NUMER TRZY, higieniczny „dorosły” (w kształcie gigaj i odpowiedzialny Pochodzi z r. 1896. Jest już kompletnie „zmotoryzowany” i sanitarny. Ma w środku składany materacyk, poduszki do wyjmowania, stalowe szprychy i koła na gumach. Kosztuje 7½ gwinej (mniej niż 1/2 ceny dzisiejszej). Mały człowiek jest już najwyraźniej wielką osobą. Chociaż pomimo dawno przeczytanych pism Owena, nikt jeszcze nie rozumie, że otoczenie tworzy charakter, chociaż pomimo ustawy z 1864 r. dzieci wciąż jeszcze gdzieś niegdzie czyszczą koniny, chociaż szkół jest jeszcze wciąż za mało, a służby „with little to do and plenty to get” wciąż za dużo, to przecie coś się zmieniło. Co się stało? Ano, stało się dużo. Była wojna krymska, która oprócz mody palenia i mody długich bród przyniosła także początek pielęgniarstwa zawodowego i rozsądnej higieny. Była królowa Wiktorja, której wpływ ugruntował się już mocno i wyraził się w upodobaniu do życia rodzinnego, w szacowności i w czytaniu biblii. Był Darwin i rozkwit nauk przyrodniczych i matematycznych w Oxford i Cambridge. Suknie robią się krótsze, spacery dłuższe, ulice czystsze. Wchodzi w modę tenis i wycieczki na bicvku — początek swobody towarzyskiej kobiet. Nadchodzi era „muskularnego chrześcijaństwa” miosąc ze sobą zimne kąpiele, sporty, week-endy i... wygodne wózki dziecenne. „Czasz te — pisze John Buchan — wydają mi się niewiarygodnie bezpieczne i jakby zadowolone z siebie. Świat, który pamiętam, był zycziwy i dobrze wychowywany...” Taki też jest i nasz dziecinnny „gig”.

ATERAZ — bardzo duży skok — i jesteśmy po ostatniej wojnie światowej. Numery 4 i 5 to modele z r. 1947. Skóra, stal, łożyska kulkowe, opony, resiny. bady. Za wcześniej jeszcze, żeby z tych wózków wnioskować o historii. Czy to, że numer 5 — najostatniejszy, jest taki duży, to dlatego, że oprócz dziecka jeżdżą w nim tak często sprawunki? Czy to, że ma specjalnie skonstruowaną podpórkę zabezpieczającą bachora od wypadnięcia, to dlatego, że tak często i na tak długo dziecko musi zostawać samo, podczas gdy mama, „kobieta nowoczesna” wygłasza mowę w Parlamencie lub odbywa swoje godziny służby w szpitalu? Może tak, a może nie tylko tak. Powiedzieć wolno tylko, że od drabiniastego wózka z r. 1830 zajechaliśmy bardzo daleko. I chyba w dobrym kierunku.

A. Morawska



English without Tears

SUNDAY: Difficulties of English Pronunciation, Real and Imaginary (III)—Third of a series of four talks by Professor Dandel Jones.
 MONDAY: (Elementary) Uses of the word *what*. See text below.
 TUESDAY: (Elementary) „Ann and her Grandfather” conversation. See text below.
 WEDNESDAY: (Elementary) „The Enchanted

House” Part II — a story from the „Thousand and One Nights”.
 THURSDAY: (Advanced) „Brown Family” conversation.
 FRIDAY: (Advanced) A dialogue on some English expressions.
 SATURDAY: (Advanced) Answers to listeners' questions.

1st V: *What about* going to a theatre tonight? That means, *what do you think about* the idea of going?
 2nd V: Then there's the expression: *What of that?* That means *what does that matter?*
 1st V: And there, listeners, we must leave *what* for today.

GŁOS I: Co (myślisz) o pójściu do teatru dziś wieczór? To znaczy co sądzisz o pomysle pójścia?
 GŁOS II: Następnie jestniej wyrażenie: Co z tego? To znaczy co to szkodzi?
 GŁOS I: I na tym, słuchacze, musimy pozostawić co na dzisiaj.

Lekcja sto siódma

WHAT

1st VOICE: English by Radiol Today, listeners, we are going to talk about the word „*what*”. Listen to this sentence:
 2nd VOICE: *What did you say?*
 1st V: *What* is used in asking questions. In that sentence it had the meaning of *what words* did you say, and it was used in place of a noun. Here are some more examples of *what* used in this way:
 2nd V: *What is this made of?* That means *what material* is this made of?
 1st V: I met Peter's father yesterday. *What is he?* There *what* means: *what occupation* has he. *what work* does he do?
 2nd V: *What is this book about?* *What shall I say to Mr. Brown if he rings up?*
 1st V: Those sentences were all *direct questions*. Now here are some more sentences in which the word *what* is used in exactly the same way, but this time in *indirect questions*.
 2nd V: This is a nice ash-tray, but I don't know *what* it is made of.
 1st V: I'm afraid I don't know for certain *what* Peter's father is, but I think he is a banker.
 2nd V: Then *what* is often used with the word *like*. Listen to this sentence:
 1st V: *What is Peter's father like?* I've never met him.
 2nd V: There are many children who can't remember *what a banana tastes like*.
 1st V: And now listen to this sentence:
 2nd V: *What do you use that machine for?*
 1st V: In that sentence *what* was used with the word *for* to mean: *what is the special use of that machine?*
 2nd V: *What, with for*, is also used with the meaning of *for what reason, or why*. Here is an example:
 1st V: *What did you do that for?*
 2nd V: And now here are some examples of the way in which the word *what* is used *with a noun*: *What time is it?*
 1st V: *What novels* have you read this month? *What people* did you meet at the dance? *What difference* does that make?
 2nd V: And here is an example of *what* used with a noun in an *indirect question*: I don't know *what train* Peter will come on.
 1st V: Now here are some examples of *what* used as a *conjunction* to join two clauses:
 2nd V: I will give you *what help* I can. There *what help* has the meaning of *as much help as*.
 1st V: Here's another example: Give me *what letters* you have ready. I'll collect the others later. There *what letters* has the meaning of *as many letters as* you have ready.
 2nd V: *What the soldier said* isn't evidence. There *what* means the *things which* the soldier said.
 1st V: *What is very often* used in exclamations, in sentences which express surprise or some other strong feeling.
 2nd V: *What beautiful weather* we are having! *What a large house* that is! *What an absurd idea!*
 1st V: *What may also be used* by itself as an exclamation: *What!* Is she really leaving us! *What!* Do you really mean that!
 2nd V: Sometimes *what* is used to show that the speaker has had a sudden idea as to the best thing to do. For example: I know *what*—let's go and have some coffee.
 1st V: I'll tell you *what*—let's see if there are any tickets left for the theatre.
 2nd V: And here, to finish, are one or two more examples of particular phrases in which *what* is used. First *what about*:

WHAT — CO, JAKI

GŁOS I: Angielski przez radiol Dziś, słuchacze, będziemy mówili o słowie *what* (co, jaki). Posłuchajcie tego zdania.
 GŁOS II: Co powiedziałeś?
 GŁOS I: Co używa się przy zadawaniu pytań. W tym zdaniu to oznaczało *jakie słowa* wypowiedziałeś i zostało użyte w miejsce rzeczownika. Oto kilka jeszcze przykładów *what* (co, jakie) użytego w ten sposób:
 GŁOS II: Z czego to jest zrobione? To znaczy z *jakiego materiału* to jest zrobione?
 GŁOS I: Wczoraj spotkałem ojca Piotra. Czym on jest? Tutaj *what* znaczy: *jakie zajęcie* on ma, *jaką pracę* wykonuje?
 GŁOS II: O czym jest ta książka? Co mam powiedzieć panu Brown, jeśli on zadzwoni?
 GŁOS I: Wszystkie te zdania były bezpośrednimi pytaniami. Teraz oto kilka dalszych zdań, w których słowo *what* (co) jest użyte dokładnie w ten sam sposób, lecz tym razem w pytaniami pośrednich.
 GŁOS II: To jest ładna popielniczka, ale ja nie wiem z czego ona jest zrobiona.
 GŁOS I: Obawiam się, że nie wiem na pewno *czym* jest ojciec Piotra, lecz zdaje mi się, że jest bankierem.
 GŁOS II: Następnie *what* (co, jak) jest często używane ze słowem *like* (podobny). Posłuchajcie tego zdania.
 GŁOS I: Jak wygląda ojciec Piotra? (Do czego jest ojciec Piotra podobny) Nigdy go nie spotkałem.
 GŁOS II: Jest dużo dzieci, które nie mogą sobie przypomnieć *jak* smakuje banan. (Do czego jest smak banana podobny).
 GŁOS I: A teraz posłuchajcie tego zdania:
 GŁOS II: Do czego używacie tej maszyny?
 GŁOS I: W tym zdaniu *co* (czego) jest użyte ze słowem *do*, aby określić jaki jest specjalny użytek tej maszyny.
 GŁOS II: Co (jaki) ze słowem *dlaczego* jest także użyte w znaczeniu *dlaczego* powodu, lub *dlaczego*. Oto przykład:
 GŁOS I: Po co (dlaczego) to zrobiłeś?
 GŁOS II: A oto kilka przykładów sposobu, w jaki słowo *jak* jest użyte z rzeczownikami: Która godzina? (*Jaki* jest czas?)
 GŁOS I: *Jakie* powieści czytałeś w tym miesiącu? *Jakich* ludzi spotkałeś na zabawie tanecznej? *Jaką* różnicę to robi?
 GŁOS II: A tu jest przykład słowa *jak* użytego z rzeczownikiem w pośrednim pytaniu. Nie wiem *jakim* pociągiem Piotr przyjedzie.
 GŁOS I: Teraz kilka przykładów słowa *jaki*, użytego jako spójnik dla połączenia dwóch zdań.
 GŁOS II: Dam ci (taką) pomoc, *jaką* będę mógł. (pomogę ci tak dalece, jak będę mógł). Tam *jaką* pomoc ma znaczenie *tylko pomocy ile* (będę mógł).
 GŁOS I: Oto inny przykład. Daj mi *jakie* listy masz gotowe. Ja odbiorę inne później. Tutaj *jakie listy* oznacza *tylko listów ile* masz gotowych.
 GŁOS II: (To) co żołnierz powiedział nie jest dowodem. Tutaj *co* znaczy *rzecz, którą* żołnierz powiedział.
 GŁOS I: *Co, jaki* jest często używane w wykrzyknikach, w zdaniach wyrażających zdziwienie lub jakieś inne silne uczucie.
 GŁOS II: *Jaką* piękną pogodę mamy! *Jaki* duży dom to jest! *Jaki* (co za) absurdalny pomysł!
 GŁOS I: *Co* może być także użyte samo jak wykrzyknik: *Co!* Czy ona nas naprawdę opuszcza! *Co!* Czy ty naprawdę tak myślisz!
 GŁOS II: Czasem *co* jest użyte dla pokazania, że mówiący wpadł nagle na pomysł, *jaką* najlepszą *rzecz* zrobić. Na przykład: Ja wiem *co* — chodźmy i napijmy się kawy.
 GŁOS I: Ja ci coś powiem — zobaczmy czy zostały jakieś bilety do teatru.
 GŁOS II: A oto, na zakończenie, jeden lub dwa przykłady specjalnych zdań, w których *co* jest użyte. Pierwszy, co (myślisz) o:

Lekcja sto ósma

GRANDFATHER'S GHOST

ANN: *What a cold evening* it is, Grandfather! I'll put a little more coal on the fire. There, that's better. *What book* are you reading?
 GRANDFATHER: *What is it*, Ann? I didn't hear *what* you said.
 ANN: I said: *What book* are you reading? You must find it very interesting if you didn't hear me when I spoke to you.
 GFATHER: Yes, it's an interesting book.
 ANN: *What is it* all about?
 GFATHER: Oh, it's a book about old houses and the people who had lived in them—people who weren't happy when they were alive, and couldn't rest after they were dead.
 ANN: Grandfather, you're reading „ghost” stories!
 GFATHER: Well, *what of that?* Ghost stories make a change, *once in a while*.
 ANN: Have you ever seen a ghost, Grandfather?
 GFATHER: No, I can't say I've ever seen anything like that. But I've known strange things happen.
 ANN: I know *what*, Grandfather! You stop reading that book and tell me about those strange things.
 GFATHER: Well, Ann, when I was a young man I used to spend some of my holidays with an uncle in Devonshire.
 ANN: Did your uncle live in a very old house?
 GFATHER: Yes, it was about as old as this one. And he lived alone except for a servant and a dog.
 ANN: That's not *what* I should call a lively place for a holiday.
 GFATHER: You wouldn't, perhaps, Ann. But there was a lot to interest me there.
 ANN: Yes, Grandfather. Now tell me *what* happened there that was strange.
 GFATHER: Well, I was asleep in bed one night when suddenly I awoke.
 ANN: Yes, Grandfather, and *what* then?
 GFATHER: I heard my bedroom door open. The moon was shining through the window on to the door. Then I saw a hand just above the handle of the door.
 ANN: *What next*, Grandfather?
 GFATHER: The hand moved. I thought it made a sign for me to go to the door.
 ANN: And did you go, Grandfather?
 GFATHER: I went towards the door but, just as I was near it, it came with a loud bang.
 ANN: Then *what* did you do?
 GFATHER: I opened the door quickly and looked about, but there was nobody there. I could just hear the dog growling downstairs.
 ANN: Oh, where's Spot, Grandfather? He was here a minute ago.
 GFATHER: He's just gone out of the room, Ann.
 ANN: Oh. Now go on, Grandfather.
 GFATHER: Well, the next night I stayed awake and in the moonlight again I saw a hand appear round the door.
 ANN: Yes, Grandfather, and then *what*?
 GFATHER: I jumped out of bed and rushed to the door. I opened it, and there — (*Sound of loud crash.*)
 ANN: Oh, Grandfather, *what* was that?
 GFATHER: I don't know, Ann. But I must go and find out.
 ANN: I'll come, too. Hold my hand, Grandfather.
 GFATHER: Just look! It was that bad dog Spot. He must have jumped on to that shelf and knocked down all those saucepans, lids.
 ANN: Oh, Grandfather, *what a* fright it gave me! I thought it was a ghost.

DUCH DZIADKA

ANNA: Jak zimowy wieczór, dziadku! Dołóż trochę więcej węgla do ognia. W porządku, tak jest lepiej. *Jaką* książkę czytasz?
 DZIADEK: Co takiego Anno? Nie słyszałem co mówiłaś?
 ANNA: Mówiłam: *Jaką* książkę czytasz? Musisz ją znajdować (uważać za) bardzo interesującą, skoro nie słyszałeś mnie, kiedy mówiłam do ciebie.
 DZIADEK: Tak, to jest interesująca książka.
 ANNA: O czym to jest?
 DZIADEK: Oh, to jest książka o starych domach i ludziach, którzy w nich mieszkali — ludziach, którzy nie byli szczęśliwi za życia (kiedy byli żyjący) i nie mogli spocząć po śmierci.
 ANNA: Dziadku, ty czytasz historię o „duchach”!
 DZIADEK: Więc co z tego? Historia o duchach (robią zmianę) są urozmaiceniem od czasu do czasu.
 ANNA: Czy widziałeś kiedy ducha, dziadku?
 DZIADEK: No, nie mogę powiedzieć, abym kiedykolwiek widział coś podobnego. Lecz znalazłem dziwne wypadki (dziwne rzeczy zdarzały się).
 ANNA: Ja wiem co, dziadku! Ty przestaniesz czytać tę książkę i opowiesz mi o tych dziwnych rzeczach.
 DZIADEK: Więc Anno, kiedy byłem młodym człowiekiem, zwykle spędzałem niektóre święta (wakacje) z jednym wujem w Devonshire.
 ANNA: Czy twój wuj mieszkał w bardzo starym domu?
 DZIADEK: Tak. Był mniej więcej tak stary jak ten. I on mieszkał sam, z wyjątkiem jednego służącego i psa.
 ANNA: Nie nazwałabym tego przyjemnym miejscem na (spędzanie) wakacji.
 DZIADEK: Ty może nie, Anno. Lecz było tam mnóstwo rzeczy, które mnie interesowały.
 ANNA: Tak, dziadku. Teraz powiedz mi co zdarzyło się tam dziwnego.
 DZIADEK: Otóż, spałem w łóżku pewnej nocy, kiedy nagle się przebudziłem.
 ANNA: Tak, dziadku, i co potem?
 DZIADEK: Usłyszałem, że drzwi mojej sypialni otwierają się. Księżyć świecił poprzez okno i oświetlał drzwi. Wtedy zobaczyłem rękę nad samą klamką drzwi.
 ANNA: Co potem dziadku?
 DZIADEK: Ręka poruszyła się. Sądziłem, że robi mi znak, abym podszedł do drzwi.
 ANNA: I poszedłeś, dziadku?
 DZIADEK: Wyszedłem w kierunku drzwi, lecz właśnie, kiedy byłem blisko, zamknęły się z głośnym trzaskiem.
 ANNA: Wtedy, co zrobiłeś?
 DZIADEK: Otworzyłem drzwi szybko i rozejrzałem się, lecz nie było tam nikogo. Mogłem tylko usłyszeć psa warczącego na dole.
 ANNA: Och, gdzie jest Spot, dziadku? Był tu przed minutą.
 DZIADEK: Właśnie wyszedł z pokoju, Anno.
 ANNA: Och, Mów dalej, teraz, dziadku.
 DZIADEK: Więc, następnej nocy czuwałem i w świetle księżyca ponownie ujrzałem rękę ukazującą się spoza drzwi.
 ANNA: Tak, dziadku i potem co?
 DZIADEK: Wskoczyłem z łóżka i rzuciłem się do drzwi. Otworzyłem je i oto (odgłos głośnego loskotu).
 ANNA: Och, dziadku, co to było?
 DZIADEK: Nie wiem, Anno. Ale muszę pójść sprawdzić.
 ANNA: Ja pójdę także. Trzymaj moją rękę, dziadku.
 DZIADEK: Spójrz! To był ten niedobry pies, Spot. On musiał wskoczyć na tę półkę i zwałił wszystkie pokrywki od garnków.
 ANNA: Och, dziadku, *jakiego* strachu mi to napędziło (dało). Myślałam, że to był duch.



Stały Czytelnik Bydgoszcz. Bydgoszcz prosi o dalsze zdjęcia księżniczki Elżbiety w „Głosie Anglii”.
 Bydgoszcz może być pewna, że jeszcze nieraz nadarzy się okazja reprodukcji zdjęć księżniczki. Pozwólmy jej trochę odpocząć po ślubie.

A. S. Przemysł. W BBC śpiewano podczas świąt polskie kolędy po angielsku. Nasunęła mi się myśl, czy by Panowie nie byli łaskawi wydrukować te kolędy po angielsku w cennym piśmie.
 Święta myśl. Napiszemy w tej sprawie do BBC.

J. S. Polanica Zdrój. Mam dostęp tylko do aparatu „Philico” 6 lamp o skali 55—150. Nikt nie umie mi powiedzieć, jak na tym aparacie chwycić lekcje.
 Niestety my też nie. Prawdopodobnie z tym „Philico” nic się nie da zrobić. Musi się pani postarać o dłuższe fale.

A teraz informacja dla wszystkich pragnących nawiązać korespondencję z osobami lub organizacjami w Anglii. Adresy organizacji młodzieżowych, drużyn harcerskich i osób prywatnych, pragnących wymieniać listy poda najlepiej Rada Wychowania Obywateli Świata, Council for Education in World's Citizenship, Maiden Lane, London W. C. 2.

Stały Czytelnik z Mazowsza. 1) Wyrazy takie jak: „no, know, go, window” Angliacy wymawiają *no* oraz *neu*, *windou* oraz *windeu*, *gou* oraz *geu*. Któremu z tych sposobów należy się pierwszeństwo? 2) Jaki jest tytuł i cena dzieła w języku angielskim (rodzaj słownika jednojęzykowego) mogącego zastąpić kompletny słownik angielski?

1) *Blagamy* niech Pan nie wlerzy Anglikom, którzy wymawiają *neu* i *geu*. A jeżeli już Anglikom *musi* Pan wlerzyć, niech Pan nie wierzy własnym uszom, kiedy Pan słyszy *windeu*. Różnice w wymawianiu dyktogów są w Anglii bardzo znaczne, ale najbezpieczniej będzie dla Polaków wymawiać zawsze poprawnie, jak w książce „stoi”: „*gou, nou, windou*”.

2) *Pocket Oxford Dictionary* (1.000 str.) kosztuje 10 szylingów. *Odham's Dictionary* (1.269 str.) 12 szylingów i 6 pensów.

J. P. Warszawa. Czy mógłbym prosić o wskazanie mi podręczników skład brane są teksty lekcji angielskiego, ewentualnie czy nie możnaby opuszczać tłumaczenia polskiego podając w tym miejscu teksty angielskie. Chciałbym też wysunąć projekt, by osobom zainteresowanym posyłać oddzielnie jednostronicowe teksty za opłatą.

Teksty lekcji angielskiego brane są z tygodniowych biuletynów BBC. *Specjalna broszura z tłumaczeniem polskim zawierająca jednakże tylko teksty dla początkujących* jest do nabycia w księgarniach *Gebethnera i Wolffa*.

Wyobrażamy już sobie ze zgrozą, co by było, gdybyśmy zaczęli opuszczać tłumaczenie podawanych przez nas angielskich tekstów. Wciąż jeszcze otrzymujemy listy od czytelników, którzy uważają, że tłumaczeń i wyjaśnień jest za mało, że z brytyjską *flegmą* przyprowadzamy ich o zawroty głowy, że z brytyjskim *snobizmem* wyobrażamy sobie *niestusznie*, że po angielsku każdy umie i że z brytyjską *nonszalancją* ośmielamy się tłumaczyć np. „*see you later*” — „do zobaczenia”, kiedy to przecież znaczy „widzę cię później”. *Sam Pan rozumie*, że w tym stanie rzeczy tłumaczeń polskich nie odważymy się opuścić.

Co do przesyłania tekstów dla zainteresowanych osobom zainteresowanym, to nie sądzimy, aby ich było *tak* dużo, dla *małej* liczby trudno jest drukować osobną stronę i przeprowadzać wszystkie czynności administracyjne.

I. K. Przemysł. Proszę uprzejmie o łaskawą odpowiedź: 1) Adres Drużyny Harcerskiej Zeńskiej, 2) Adres Tow. Opiekł nad Zwierzętami.

1) *Harcerstwo: World Association of Girl Guides, World Bureau, 9, Palace St., London S. W. 1.*

2) *Tow. Opiekł nad Zwierzętami: Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals, 105, Jermyn St., London, S. W. 1.*

FRANCIS BYRNE

Polska kupiła w Anglii konie wyścigowe

NIEOCZEKIWANYM wydarzeniem na wrześniowej wysprzedaży koni pełnej krwi w Newmarket było zakupienie przez rząd polski 25 rasowych koni angielskich. Zakup ten miał na celu wznowienie pięknej tradycji wyścigów konnych w Polsce.

12 koni sprzedał przedstawicielom rządu polskiego niejaki M. T. Brown, właściciel stadniny Cleverdońskiej w Warwickshire. 7 dalszych kupili Polacy na wysprzedaży październikowej. Wreszcie włączono do tej transakcji jeszcze 6 koni ze stadniny pana Browna. Tak więc 25 czworonogich biegaczy „wsiadło” na siatki i odplynęło do odległej Polski, aby tam zasilić kadry „wyscigowców” i przyczynić się do wzrostu hodowli koni rasowych.

Kupno jednolatków jest zwykle ryzykiem. Powstaje wówczas zawsze pytanie: czy lepiej kupić większą ilość koni po cenach stosunkowo niskich, czy też cały kapitał włożyć w jednego „dobrze urodzonego” i wzorowo wychowanego żrebaka? Jak to często się zdarza, oba sposoby rozumowania mają wiele racji. Ilustruje to szereg przykładów: kiedyś gackwar (tytuł władcy) Barody zapłacił 17.500 £ za „syna” Nearco — wielkiego włoskiego reprodutora. Ten żrebeczwał się bardzo pięknie: Star of Gujrath, co po polsku będzie

rzymy się teraz koniom, jakie nabyli Polacy. Ale, aby to uczynić, trzeba poznać naprzód rodowód każdego z nich — ich, ze tak powiem, pochodzenie wyścigowe. Będziemy więc w poniższym opisie sięgać często do końskich babek, ba nawet i prababek — proszę się więc nie przestraszyć i być cierpliwym i wyrozumiałym. Zaczniemy od tego, że „czołowymi” ogierami W. Brytanii są Nearco, Hyperion, Fairway, Signal Light, Bois Roussel, Mieuxce, Fair Trial i Stardust.

Trzeba też dodać, że na poprzednich licytacjach ceny były tak wysokie, iż kto miał ograniczoną sakiewkę, nie mógł sobie pozwolić na pozyczenie zakupów.

Polacy przystąpili dopiero później do udziału w licytacji. Jako pierwszą utargowali gniada klacz po Hastingsie i Bold Beauty. Kosztowała 189 funtów. Jej ojciec Hastings był biegaczem, który bardzo późno osiągnął szczyt swej kariery. Nie wygrywał biegów jako dwulatek, dopiero gdy osiągnął trzecią wiosnę życia, pobił po raz pierwszy 20 innych koni. Jako czterolatek wykazał się wielką wytrzymałością, wygrywając biegi na 2,4 km i 3,2 km. Pochodzenie ma bez zarzutu. Ojciec jego Blenheim miał za sobą zwycięstwo w Derby, i osiągnął wielkie sukcesy w USA jako reprodutor. Jego dzia-

bytku jest szczególnie interesujący. Ojciec klaczy, Museum wygrał tzw. „Irish Triple Crown” — co znaczy tyle mniej więcej, ile zwycięstwo w „Derby”, w „20.000 gwinei” i „St. Leger”. Przybywszy do Anglii kon ten pokazał zaraz, co potrafi, bijąc przeciwników w tzw. „Elor Handicap” (jest to bieg na 2,8 km, bardzo trudny do wygrania, gdyż stają do niego co roku najlepsi zawodnicy). Museum pochodzi od ogiera Phalarisa, którego synowie Fairway, Maana, Pharos i Colorado, są bardzo słynni. Krew płynąca w żyłach Phalarisa to krew najbardziej zdobywczej rasy koni w Anglii, jeżeli chodzi o czasy obecne.

Ze strony matki klaczy, nabyta na licytacji, ma także krew Phalarisa, ponieważ jej „dziadek” zwany Praetorem był właśnie synem Phalarisa. Proste, prawda? Jednym z najszybszych sprinterów końskich był bezpośrednio przed i podczas wojny Linklater. Zdobywał on wszystkie pierwsze miejsca przez kilka lat z rzędu, lecz ponieważ pochodzenie jego nie było zarejestrowane w księdze stadnin — potomków jego sprzedawano dość tanio (jak widać brak metryki u koni znaczy więcej, niż u ludzi). Właśnie córka Linklatera i klaczy the Poem została jako ostatnia zakupiona przez Polaków na wysprzedaży wrześniowej. Nabyli ją za 120 funtów w samo południe, gdy większość biorących udział w licytacji opuściła targ, aby zobaczyć biegi, które się właśnie odbywały.

Podczas gdy klacz po Hastingsie może zrobić karierę jako długodystansowiec, to klacz po Linklaterze powinna wygrywać raczej krótkie biegi dwulatek.

Na drugiej wysprzedaży wrześniowej Polacy znowu kupili szereg ra-



Tak wygląda licytacja koni wyścigowych w Newmarket. W tej chwili toczy się „walka” o klacz Ladies Walk po słynnym ogierze Bois Roussel.

sowych koni. Między innymi kasztanowatego żrebca, syna ogiera Brumeux i klaczy Pervaneh.

Następnie Polacy zakupili żrebca, który jest synem Suzeraina i w końcu kasztanowatego żrebca świetnej pary: Felsteda i River Star. Felsted, to zwycięzca Derby w 1928 roku. Zakończył żywot w 1946 r. Pochodził z rodziny, która już niestety jest w Anglii na wymarcia. Jego córka jest zwyciężczynią największych biegów klaczy. Być może, że za kilka lat w Polsce odrodzi się ta bezcenna rodzina koni.

W Ameryce, we Francji, a także we Włoszech, w Nowej Zelandii i w Australii pojawiły się już mi-

strzowskie konie. Wszystkie one pochodzą z tanio zakupionych brytyjskich eksportowych klaczy i ogierów.

Na koniec warto dodać, że gdy jakaś rasa zaczyna wymierać, lub członkowie jej stają się coraz rzadsi w W. Brytanii — brytyjscy hodowcy są szczęśliwi, jeżeli mogą odkupić wybitnych przedstawicieli zanikających rodzin, wychodowanych za granicą.

Ostatnio odkupiono w ten sposób potomków Hurry On z Włoch i różne inne konie angielskie z Francji. Wróciły one „do domowych stajni”, a za każdego zapłacono po 8000 funtów.



Słynny „Blenheim” — zwycięzca biegu „Derby” w roku 1930 — dziadek gniadej klaczy, którą kupili Polacy.

brzmiało „Gwiazda Gudżeratu”. Wyobraźcie sobie, że koń ten wygrał na wyścigach zaledwie 276 £. Właścicielka największej stajni wyścigowej w Anglii, panna D. Paget zapłaciła pewnego razu 16.500 funtów za Colonel Payne'a, żrebaka, którego ojcem był Fairway (o nim później) i coż myślicie — koń okazał się do niczego. Przyniósł właścicielce tylko 344 funty, wobec włożonych w niego 16.500. Dobrze?

Lord Glanely potknął się jeszcze gorzej na koniu. Kupił nianowicie żrebca Blue Ensign za 16.000 funtów i nie zwrócił mu się za niego ani jeden grosz.

Ale, choć długa jest lista tych kasztanowych biegaczy „do luzu”, to jednak można by wypisać drugą, podającą wprost przeciwnie fakty. Oto ten sam gackwar Barody „wygrał” na podniecającej licytacji w Newmarket za sumę 30.000 (największa suma jaką kiedykolwiek oferowano w Anglii za jednolatką) niekiedy Savajirao i koń ten zwyciężył tego roku wyścig „St. Leger” i wart jest teraz (włączając jego cenę jako reprodutora) skromnie 100.000 funtów. Oplacił się więc nabywcy!

Zwykle jednak pieniądze zwracają się nabywcom większej ilości tanich koni. Warto zaznaczyć, że przedstawiciele Polski kupili ubiegłego roku na licytacji dobre konie po stosunkowo niskich cenach. A wcale nie było łatwo o to. Popyt na rasowe konie angielskie był ogromny. Przyj-

dek znowuż — Blandford — jest równocześnie ojcem niepobitego Bahrama, zwycięzcy trzech klasycznych wyścigów: „2000 gwinei —”, „Derby” i „St. Leger”. Ow Bahram spłodził Trigona, zwycięzcę Derby.

Od Blenheima (ostrożnie! lepiej przeczytać poprzednie jeszcze raz, żeby się wam nie pomieszało w głowie) pochodzi inny mistrz „Derby” Mahmoud, zdobywca rekordu szybkości w tym biegu. Mahmoud to jeden z głównych reprodutorów w USA.

Ze strony matki Hastings pochodzi od More Hastie. Ojcem tej ostatniej był Hurry On, uważany za największego reprodutora klaczy rodowych w Anglii.

Bold Beauty, matka nabytej przez Polaków klaczy, to przynajmniej siostra czterech zdobywców 8000 funtów.

Jak widać, gniada klacz, która powędrowała do Polski, pochodzi z doskonałej rodziny i wydaje się, że kupujący zrobili korzystnie wybierając właśnie ją. Była ona jedną z rzadkich okazji licytacji.

Następnym nabytkiem był kasztanowaty wałach, syn Tramaila i Catherine Parr. Tramail jest tak, jak i Hastings, potomkiem Blenheima. Później kupiono kasztanowatego żrebca po Farce i Suzer i drugiego tej samej maści syna Tramaila i Aloutte, oraz kasztanowatego klacz po Museum (to tylko nazwa konia) i High Court. Rodowód tego ostatniego na-

Anglia — Szwecja w hokeju 6:5

SEZON międzynarodowych spotkań hokejowych w Anglii zainaugurował przyjazd klubu AIK ze Sztokholmu, reprezentującego Szwecję. Szwedzi wzięli udział w turnieju 6 meczów. Cztery mecze rozegrał AIK z czołowymi drużynami brytyjskimi, a dwa z reprezentacją Anglii.

AIK był mistrzem hokejowym Szwecji na rok 1947, a tytuł ten posiadał drugi rok z rzędu. Siedmiu zawodników tej drużyny to reprezentanci barw szwedzkich na arenie międzynarodowej, kilku zaś innych, to gracze, którzy ubiegają się o wcielenie do zespołu olimpijskiego.

Szwedzi w czasie swego występu w Anglii, mimo dobrego tempa i doskonałej obrony wypadli słabo w ataku, tak że z sześciu rozegranych meczów przegrali pięć, a w jednym tylko zremisowali. Wyniki szczegółowe przedstawiają się następująco:

Harringay Racers—Szwecja 7:3.
Anglia—Szwecja 6:5.
Steatham—Szwecja 8:3.
Brighton Tigers—Szwecja 14:5.
Nottingham—Szwecja 6:2.
Anglia—Szwecja 3:3.

NIELETNI HOKEISTA

W dwóch spotkaniach drużyn reprezentujących Anglię i Szwecję od-

znaczył się doskonałymi zagraniami Gordon Pankhurst — 14-letni zawodnik z Londynu. Mimo że dopiero bardzo krótko gra on w reprezentacji, potrafił jednak świetnie atakować bramkę przeciwnika. Przebiegiwością i zdecydowaniem swych poaciągów sprawił wiele kłopotów bramkarzowi szwedzkiemu. Zwinnosć i szybka orientacja rokuje temu młodemu hokeiście wielką przyszłość na lodzie.

Pankhurst jest najmłodszym zawodnikiem z tych, którzy występowali kiedykolwiek i występują w barwach reprezentacji Anglii. Nie strzelił wprawdzie w meczu, który zakończył się remisem, ani jednej bramki, wyróżnił się jednak świetnymi zagraniami.

Drugim Anglikiem, który odznaczył się w turnieju był Arthur Green — kapitan klubu „Wembley Lions”. Strzelił on w spotkaniu reprezentacji obu krajów aż 3 bramki, przy tym wykazał też wielkie walory w defensywie. On to głównie przyczynił się do zwycięstwa w stosunku 6:5 nad Szwedami. Decydującą bramkę zdobył Green na trzy sekundy przed końcem gry. Poprzednio miał już na sumieniu dwa sku-

teczne strzały do siatki przeciwnika. Drugi z tych strzałów przyniósł Anglikom wyrównanie. Na tym właśnie zawodnikowi załamały się ataki Szwedów. Gdyby nie Green byłiby oni na pewno zwyciężczyli.

NAJLEPSZY BRAMKARZ KONTYNETU

Kurt Svanberg — bramkarz szwedzki — najstarszy zawodnik drużyny, od szeregu lat grający w reprezentacji, obronił kilka tak „murowanych” strzałów, że słusznie można go uważać za najlepszego bramkarza na kontynencie.

Biorąc ogólnie, wynik tego pierwszego w tym sezonie spotkania Anglików z graczami z kontynentu, wypadł dla tych ostatnich niezbyt korzystnie. Szwedzi nie wykazali jakiegś nadzwyczajnej formy, a ich wysiłki, aby panować nad przebiegiem gry (co im się tylko chwilami udawało) okazały się w końcu bezskuteczne. Prawda jednak, że mieli czasem ładne zagrania, które sprawiały wiele kłopotu ich przeciwnikom.

Anglicy mówili wyraźnie nad Szwedami grą kombinacyjną, wykazując wielką przedsiębiorczość i celnej strzelając.



Fragment meczu hokejowego Anglia — Szwecja, zakończony zwycięstwem Anglików w stosunku 6:5. Arthur Green (z podniesionym kijem) w akcji obronnej przeciw atakującym Szwedom („Wembley Photo”).